Nr. 26. Warszawa, dnia 28 (16) Czerwca 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicyı kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym abonentom naszym przypominamy termin odnowienia kwartalnej i półrocznej przedpłaty.

Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym dalszy ciąg **Historyi rewolucyi francuskiej** Migneta ark. 1—6 tomu drugiego.

POLITYKA.

PODZIAŁ AFRYKI.

Tłumione żądze i łaknienia nowych zdobyczy znalazły maleńkie ujście w świeżo ogłoszonej umowie anglo-niemieckiej. Jak wiadomo czytelnikom, Niemcy, za ustępstwa i „rozgraniczenie sfer interesów“ w Afryce, otrzymały wyspę Helgoland. Okrzyki dzikiej radości zmieszały się z wrzaskami zgrozy i szeptami podejrzliwości. Ci, mianując cesarza „pomnożycielem państwa,“ wybuchali takim zapałem dla nowej zdobyczy, która obejmuje zaledwie półkilometrowy kwadrat skalistej wyspy, jak gdyby dostali nową Alzacyę i Lotaryngię; tamci pienili się z powodu straconych łupów w Afryce; inni, nie wiedząc, jakie uczucie objawić, wydawali tylko nieartykułowane głosy. Toż samo, choć w łagodniejszej postaci, powtórzyło się również w Anglii. Zapanował gwar, chaos zdań i przypuszczeń, z którego nie wyszły dotąd jasno stosunki dokonanego handlu.

Nie będziemy tu naturalnie ważyli obustronnych interesów i rozstrzygali, kto zyskał i oszukał a kto stracił i został oszukanym, bo nas to wcale nie obchodzi; rozpatrzymy jedynie sam fakt nowego podziału Afryki, który posiada niezaprzeczoną doniosłość. Jest to już bowiem rozdarcie ostatniego kawału kuli ziemskiej.

Naprzód tedy sułtanat zanzibarski został rozćwiertowany i w części (pas lądu stałego) przeszedł pod „protekcyę,“ to znaczy pod zabór Niemiec, w części zaś (wyspy) — Anglii. Ostatnia ma wprawdzie dla pierwszych dopiero „wyjednać“ u sułtana dobrowolne włożenie szyi w jarzmo, ale można bez omyłki przypuścić, że jej ta „protekcya“ się powiedzie. Dalej Niemcy odstąpiły swej wspólniczce: Witu z przynależnemi wyspami oraz wybrzeże Somalijskie, tak że jej posiadłości sięgają teraz aż do Juby. Na olbrzymiej przestrzeni wnętrza afrykańskiego, która obejmuje poniekąd Abisynię i dolinę Nilu, ma teraz Anglia współzawodniczkę tylko we Włoszech, z któremi będzie miała lekką pracę. W zamian za to „sfera interesów“ niemieckich została rozszerzoną ku zachodowi aż do państwa Kongo. „Skutkiem tego Anglia — powiada *Frankf. Ztng.* — porzuciła przypisywany jej zamiar połączenia swych posiadłości południowo-afrykańskich zapomocą łańcucha kolonii i protektoratów z Nilem i Egiptem,“ chociaż dla swego handlu na tej drodze zastrzegła sobie mnóstwo przywilejów.

Nie podajemy tu szczegółowego rozgraniczenia obu „sfer interesów,“ gdyż ono nawet w układzie nie istnieje. Oznacza on je stopniami geograficznymi, które stanowią określenia ogólnikowe, bez punktów i kresów ścisłych, co niezawodnie wywoła w przyszłości nowe spory i nowe kontrakty. Ale to sprawa drugorzędna, daleko ważniejszym jest fakt podziału Afryki między dwa potężne mocarstwa europejskie. Do niedawna jeszcze, oprócz Anglii, inne państwa miały tam drobne stosunkowo skrawki ziemi, ciągnące się wieńcem po wybrzeżach; wnętrze zaś pozostało wolnem. Dzięki zaś wyprawom podróżników, uwieńczonych wawrzynami badaczów, a będących agentami handlu i polityki, Europa zaczęła coraz głębiej zapuszczać we wnętrze Afryki naprzód wzrok a następnie ręce. Do zaborów przystąpiła pierwsza, bo najbardziej doświadczona i przygotowana Anglia. Spostrzegł jednak wkrótce lew brytański, że musi podzielić się zdobyczą z groźnym tygrysem niemieckim, gdyż do współki z nim zdoła odstraszyć inne głodne i chciwe drapieżce. Każdy z dwu więcej otrzyma, niż każdy z trzech lub pięciu. Włochy, Portugalia, Francya itd. ulękną się tak silnych sprzymierzeńców i będą musiały poprzestać na resztkach zaboru.

Ta rachuba złączyła Anglię z Niemcami. Że w niej jakaś mizerna wysepka rybacka, jakiś Helgoland jest nieważkim prochem, nie potrzebujemy dowodzić. Wetknięto go jak błyszczące szkiełko po to tylko, ażeby nim od głównej rzeczy odwrócić uwagę. Targ szedł nie o półkilometrową skałę i 2,000 biednych rybaków, ale o tysiące mil kwadratowych niewyzyskanej jeszcze ze skarbów przestrzeni, o miliony niewolników roboczych, o słonie i trzcinę cukrową. Na cześć tego nabytku Stanley, dowiedziawszy się o układzie, wydał okrzyk radosny.

Dziś już można powiedzieć *Finis Africae*. Już ona jako zbiorowisko ludów i państewek niepodległych istnieć przestała. Obecnie przedstawia zabitego harpunami i wyciągniętego na brzeg wieloryba, z którego handlarze europejscy zdzierają skórę, wyczerpują tran i wyciągają fiszbiny. Dzikie i barbarzyńskie gromady, żyjące w jej wnętrzu, ani się domyślają, że zapadł na nie straszny wyrok śmierci, że Europa wkrótce przejdzie po nich swemi niszczącemi stopami i rozgniecie je jak kupki robactwa. Układ anglo-niemiecki wybił dla nich straszną godzinę zagłady, powolnego lub szybkiego konania a w każdym razie niechybnego zgonu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

„Odzyskani bracia“ na Helgolandzie, do których zleciały się stada reporterów, zapytywani o zdania w przedmiocie zmiany poddaństwa, oświadczyli, że ich ona przejmuje rozpaczą. Przewidują, że zginie ich przemysł, zginie swoboda, i że niedługo zostaną wyparci ze swej biednej wyspy a już ich

dzieci będą musiały dźwigać brzemię militaryzmu.

Militaryzm ten stacza obecnie w Niemczech z nieprzyjaznemi mu stronnictwami walną bitwę. Jak wiadomo, rząd wymaga obecnie od sejmu 18 milionów dopłaty na pomnożenie wojska, wkrótce ma zażądać 60 kilku milionów na artylerię i koleje strategiczne, a nadto minister wojny roztoczył rozległą perspektywę jeszcze większych i nieskończonych ofiar. Wytwarza się tedy położenie okropne. Postępowcy, stronnictwo ludowe i socyalno-demokraci łącznie z odłamkami innych partyj oświadczyli się stanowczo przeciw dalszym na ten cel wydatkom. Windhorst, dowodzący liczną drużyną ultramontańską, a z opozycyonisty przekształcający się coraz widoczniej na stronnika rządu, wniósł w komisyi parlamentarnej kilka rezolucyj, kilka idealnych pragnień, które złagodziłyby surowość służby wojskowej, ale jednocześnie gotów jest zgodzić się na owe 18 milionów. Wprawdzie co do dalszych zezwoleń zachowuje sobie „wolną rękę," ale ta ręka bywa już teraz coraz bardziej wolną a p. Windhorst, coraz większym spekulantem politycznym. Rozumiemy jednak jego przemiany i zwroty na korzyść rządu, bo jest niemcem; dlaczego wszakże p. Kościelski, delegat Koła polskiego w komisyi parlamentarnej głosował za pomnożeniem wojska i nowem obciążeniem ludności—nie pojmujemy. Przecież tylu niemców, niepodejrzanych w swym patryotyzmie, dało mu przykład, że opozycya w tym wypadku nie jest zdradą kraju. P. Kościelski a z nim Koło znowu osadziło się na osi wozu ultramontanów i zdaniem naszem potoczy się po drodze tego sojuszu zbyt daleko.

Nowe ciężary wojskowe potrzebują nowych podatków, nowe podatki—nowego ministra finansów, bo dotychczasowy już wyczerpał wszystkie swoje koncepty; więc usunięto Scholtza a wprowadzono na to stanowisko Miquela, nadburmistrza Frankfurtu, wsławionego już ojcowstem kilku projektów podatkowych. Cesarz nazwał go kiedyś „swoim człowiekiem;" odtąd narodowo-liberalni, których Miquel jest przyprzywódcą, śnili ciągle o tece ministeryalnej dla niego, i ta wreszcie im się wyśniła.

Ks. Bismark, przyjmując deputacyę od 30,000 berlińczyków, naturalnie znowu otworzył przed nią swoje serce. Wynurzenia jego wszakże były tym razem nieco odmienne: objaśnił bowiem, że ustąpił nie skutkiem różnicy zdań z cesarzem, ale z kolegami w ministeryum. Zapewnił przytem, że mu nikt nie może odjąć prawa wyrażania swych przekonań, że zajmując się przez 40 lat polityką, nie może teraz zajmować się wyłącznie pszenicą i kartoflami, że pracuje dla pokoju i dynastyi. Sądzimy, że ta dynastya byłaby mu bardzo wdzięczną, gdyby dla niej nie „pracował."

Cesarz austryacki, podczas uczt w Peszcie, rzuca w uszy delegatów słówka znaczące, które mają oddziałać na dalszy bieg obrad parlamentarnych, a zwłaszcza na potarganą ugodę czesko-niemiecką. Franciszek Józef ryzykuje nawet do pewnego stopnia swą powagę, twierdząc stanowczo, że ta ugoda do skutku przyjść musi.

Pomiędzy Serbią i Austryą wre dalej walka ekonomiczna, wywołana sprawą świń. Obie strony usiłują wyrządzać sobie wzajemne szkody i obie nie objawiają chęci do ustępstw.

W Paryżu utworzyło się „Stowarzyszenie przyjaciół Rosyi," które wydało odezwę do swych rodaków, upatrując w sojuszu z Rosyą jedyną rękojmię całości i niepodległości Francyi.

Prezydent San Salvadoru, Mendez, umarł nagle, rażony apopleksyą. Z tego wypadku miał wyniknąć popłoch, w którym zginęło kilku dostojników. Po raz pierwszy chyba czyjaś apopleksya wywołała takie skutki. To też sądzimy, że ona po bliższych wyjaśnieniach otrzyma inną nazwę.

Papież nadał kilku biskupom, a między innymi krakowskiemu godność kardynalską. Ponieważ kapelusz wręczony będzie ks. Dunajewskiemu w Wiedniu wobec cesarza d. 30 czerwca, przeniesiono więc z tego dnia na 4 lipca obchód złożenia na Wawelu zwłok Mickiewicza.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

FIZYOGNOMIA UMYSŁOWA NIEMIEC w XIX stuleciu.

„Hundert Jahre Zeitgeist in Deutschland, Geschichte und Kritik" *). (Sto lat ducha czasu w Niemczech, historya i krytyka)—oto tytuł najnowszej pracy Juljusza Duboca znanego filozofa, który ze sprytem francuskim łączy gruntowność niemiecką, z wdziękiem stylu polot i głęboko ść myśli. Dzieło to zawiera próbę odkrycia formuły bieżącego stulecia. Poznajemy charakter okresów, porównywając je z poprzednimi, badając stanowisko ich historyczne oraz psychologiczną ich zawisłość. Filozofja historyi milczy już od lat dziesiątek; na jej miejsce wstępuje coraz wyraźniej psychologja dziejów. Na tem właśnie polu Duboc celuje. Porzuca metafizyczno-historyczne prawa rozwoju, przyjmując natomiast psychologiczno-historyczne prawo przemiany materyi duchowej, wyrównywania się nadmiaru nadmiarem wprost przeciwnego rodzaju. „Skoro przesyt w pewnym kierunku obudził odrazę lub obojętność, następuje zmiana a tem samem nowe życie". Tem więc cechuje się historjozofia Duboca, że kładzie on główny nacisk na sferę wrażeń i instyktów zmiennych, mniejszy zaś na sferę myśli i woli. Z tego punktu widzenia śledzi rozwój umysłowy Niemiec w ostatniem stuleciu, tłómacząc szczegółowo jego fazy związkiem przyczynowym, przypominającym procesy psychologiczne jednostki myślącej.

Pierwszy okres tego stulecia obejmuje według Duboca, lat pięćdziesiąt, od pojawienia się *Krytyki czystego rozumu* aż do śmierci Hegla. Jestto czas, w którym pisano więcej dzieł filozoficznych, aniżeli historycznych lub poetyckich, w którym Fichte kobietom i kupcom wykładał o bycie absolutnym. Duboc upatruje ośrodek tej epoki w Kancie; pogląd to mylny, gdyż nie z Kantem utożsamiały następne pokolenia istotę tego czasu, lecz z Heglem, owym metafizykiem nad metafizykami.

*) Lipsk, Otto Wigand.

---

2)

Taki się był urodził.

Studyum z natury.

Tymczasem sąsiedzi byli niezmiernie radzi, przetrzymali od śniadania do wieczerzy, wyrywać się nie wypadało, dopiero nocą przyjechali z powrotem. Kazio spał już snem sprawiedliwego. Tylko oddech szybki, wypieki na twarzy i przez sen rzucane słowa pozwalały domyślać się, że czas nieobecności rodziców na świeżem powietrzu spędził, że powetował sobie przymusowy spokój.

Matka stanęła na chwilę nad nim, posłuchała oddechu, przyłożyła rękę do jego czoła i poszła się rozbierać. Rozebrana usiadła przy swem łóżku i wzięła ukochaną książeczkę do ręki... Jakiś nieład tam spostrzegła. Szybko przewracała kartki, oglądała obrazki: św. Anna miała dorobione wąsy, św. Ignacy rogi na głowie, św. Apolonia paliła cygaro, doczesne kształty św. Piotra były na jego todze niezgrabnie, ale z wszystkimi szczegółami odmalowane. O dopiskach w tekście porobionych wspominać nie wypada.

Niestety jego to było pismo, Kaziowa niezaprzeczenie ręka pouzupełniała obrazki. Biednej matce książeczka wypadła z palców, obrazki rozsypały się po ziemi. Dłońmi twarz pochyloną zasłoniła, niby w sen kataleptyczny zapadła; tylko czasem pierś jej targnęła się łkaniem, dreszcz czasami wstrząsał jej ciałem.

Jeszcze nazajutrz służąca tak ją zastała.

— Jezu miłościwy, pani ino *charce* — zakomunikowała klucznicy.

Klucznica pobiegła do śpiącego jeszcze pana.

— Wielmożny panie! Wielmożny panie!

— Hm... ha! Czegóż znowu?

— Aha! to pani. Cóż tam takiego?

— Niech Matka Boska od nieszczęścia chroni... nie się wielkiego nie stało.

— No! ale cóż przecie?

— A no nic, ale Julka powiada, że pani ino *charce.*

— Co znowu? zwaryowała pani?

— To nie ja, ino Julka powiada.

Hałas się zrobił w domu, posłano po lekarza. Nic to wszystko jednak nie pomogło, doktor powiedział, że żyły w niej przez chorobę skruszały i jakaś pękła, pewnie ze wzruszenia, gdzieś w mózgu. Trzy dni się jeszcze biedaczka męczyła, ale do przytomności nie przyszła.

Domyśly były, że powodem wzruszenia był niezawodnie Kazio, ale na książeczkę wśród zamieszania nie zważano z początku, a potem po pogrzebie, mimo że szukano jej, jako pamiątki, gorliwie, nie znaleziono. Kazio spalił ją z przezorności.

Łez tam nikt u niego nie widział, choć inni rozpaczali, tylko od tego czasu ciemności bał się niezmiernie i na grób matki modlić się chodził czasami.

Siostra starsza, Wanda, objęła ster gospodarstwa domowego. Możnaby tomy spisywać, jak „miły Kazio," którego ojciec ku swemu strapieniu w domu musiał trzymać, broję jej co chwila jakąś psotę złośliwą, w kwadrans najdalej potulny żywiał się w spiżarni.

— Wańdziuniu, moja złota, daj mi smażonego agrestu.

To samo z ojcem. Przed kijem tylko korzył się. Kiedyindziej, bywało, ojciec wspominiawszy matkę, nie bije już tylko burczy. Przedstawia czasem wzruszony.

— Powiedz mi, co z ciebie będzie. Póki ja żyję, karmię cię. Chronię nietylko przed innymi, ale przed tobą samym. Nie masz jednego człowieka, coby cię znosił, wszyscy cię nie cierpią, nienawidzą. Cóżby się z tobą stało, gdybym ja umarł. W więzieniu zgnijesz, albo pod płotem zmarznąć ci przyjdzie.

— Tatku, weźmieszmię jutro na jarmark?

Trzy lata pan Skarbiewski nosił po żonie żałobę nietylko w sercu, bo tam przechowa ją do śmierci pewnie, ale i widoczną, jako krepę na kapeluszu. Nieboszczkę kochał bardzo, zawsze ją wspomina, ale gospodarstwo duże, gospodyni brak wielki; wkłady by się jakie takie przydały wśród nieurodzajów; no i towarzyszki życia potrzeba koniecznie. Postanowił się ożenić, nie trudno mu to nawet poszło.

Zapewniwszy sobie słowo swej przyszłej, zwołał dzieci i oświadczył im, że nową do-

Łatwiej zgodzić się na konstrukcyę następnego okresu, którego słońcem myślowem Duboc mieni Ludwika Feuerbacha. Jestto okres realistyczno-idealistyczny; realistycznym jest w nim program „ześrodkowywania się w dziedzinie ziemskiej,“ idealistycznem stawianie człowieka nad przyrodą, oraz nie mniej zapał dla najwyższych celów człowieczeństwa, który zrodził ruch 1848 r.

Po realistycznym idealizmie nastąpił pesymizm, jakby otrzeźwienie po oszołomieniu. Duch czasu, zarzuciwszy marzenia spekulacyi, zaczął walczyć o ideały życia, a spotkawszy się z niepowodzeniem, popadł w gorycz. Dość rozpowszechniony panuje pogląd, że pesymizm obecnie jest kierunkiem dominującym w filozofii niemieckiej. Tymczasem ustępuje on coraz bardziej. Nietzsche wyzwolił się z pod wpływu Schopenhauera, Dühring podnosi wartość życia, Hartmann zajmuje się polityką i estetyką, Duboc sam rozbiera krytycznie naukę Schopenhauera.

Cóż więc pozostało duchowi czasu, skoro postradał zarówno wiarę w świat transcendentalny, jak w idealną wartość realnego? Skoro bankructwo jest niechybnem, należy zagarnąć ile możności najwięcej z zawodnego szczęścia. W ten sposób pesymizm przemienia się na materyjalizm etyczny, który wyznaje zasadę rozwijania siły. Rozdział o materyalizmie etycznym jest najwybitniejszą częścią w dziele Duboca; żałować należy, że nie bez pewnej dowolności poprzestaje w nim autor głównie na krytyce sfery produkcyi artystycznej.

Trzy są zasady piękna, czyli „momenty używania“ w sztuce: podobieństwo, czyli forma charakterystyczna, treść idealna i doskonałość wykonania. Pierwszą i trzecią tylko zasadę wyznaje materyalizm etyczny; jakąż dlań wartość mieć może osnowa, skoro pesymizm go pouczył, że cała treść świata jest zerem? Jednak, spragniony używania, nie chce zrzec się tak doniosłego momentu używania; w miejsce doboru treści, stawia tedy napięcie nerwów, powodowane jakimkolwiek przedmiotem, silnie je poruszającym; zamiast idealizowania posługuje się sensacyjnością. W ten sposób powstała sztuka, która zasługuje na miano naturalizmu nie dlatego, iżby wierniej charakteryzowała, aniżeli idealistyczna, ale dlatego, iż rezygnując z wyboru, bardziej ją zbliża do masy przedmiotów istniejących. Związek z fermentującym pierwiastkiem społeczno-reformacyjnym, fanatyzm w odkrywaniu kłamstw życia nadaje jej pawną wartość etyczną, lecz nie artystyczną. Rys przyrodniczo-naukowy, szukający tego, co jest prawidłem a nadto rys demokratyczny, każą sztuce tej zajmować się głównie typem, człowiekiem przeciętnym. W Ryszardzie Wagnerze przemawia duch czasu, jako mistrz dźwięków; jest on narodowym, demokratycznym, społeczno-rewolucyjnym, erotycznym, bezustannie niespokojnie poruszanym. Nigdy nie ceniono w sztuce przyjemności, polegającej na rozdrażnieniu tak wysoko, jak dziś, a nikt większym nie jest mistrzem w obudzeniu tego „rozdrażnienia“, aniżeli Wagner. Muzyka jego może przygłuszyć poczucie moralne, uświetniając namiętność, zrywającą granice prawa i obyczajów. Materyalistyczny charakter jego muzyki upatruje Duboc zwłaszcza w „Trystanie“. Podobnież w Ibsenie widzi on siłę materyalizmu etycznego: przebija się ona w niepohamowanej potędze uczucia miłosnego i w opozycyi przeciw świętości małżeństwa, której Duboc broni. Jednostronność krytyki jego jasna jest dla czytelników, znających utwory tego poety; w pokonywaniu samego siebie i w kierowaniu samym sobą—tego uczą dramaty Ibsena—nie ma materyalizmu a w owej powszechnej tęsknocie za prawdą, w owej budzącej się wszędzie potrzebie rzetelności powinien by krytyk poznać zaczyn nowej etyki.

Naturalistyczny realizm wywołał wreszcie reakcyę: umysły, niezadowolone nauką o wiecznej przemianie bez polotu wyższego, zaczęły wracać do wiary w istnienie bóstwa i w nieskończony postęp wszechświata; od realizmu zaś przejęły metodę doświadczenia; w ten sposób powstała mistyka nowoczesna, spirytyzm, sonambulizm, nauka Du Prela o nieznikomych podmiotach transendentalnych. O ile mistyka ta postępuje drogą ściśle naukową, jako psychologia, o ile pragnie rozszerzyć siatkę pojęć dotychczasowych, opozycya nauk przyrodzonych jest nieuzasadnioną i wypływa chyba z obawy uronienia mniemanych zdobyczy.

Ostatni rozdział nosi napis: „Ewolucya i rewolucya“. Jest to olśniewający obraz przyszłości, tchnący postępowością i optymizmem. Duboc wykazuje, że w życiu kulturalnem—w przeciwstawieniu do zwierzęcego—odbywa się niejako ruch dyalektyczny, mocą którego prawo mocniejszego powoduje zawsze wzmocnienie prawa. Silniejszy bowiem, wywierając nacisk, wywołuje zawsze przeciwdziałanie w niższym, uciskanym, wskutek czego następuje rozszerzenie kultury i ograniczenie egoizmu względami dla drugich. Zło zawsze pozostaje w służbie dobrego; nędza, samolubne popędy, rozwijając się, zmuszają ludzkość do uznawania ich, a tem samem stają się dźwigniami postępu. Prawo to uwidocznia Duboc na cywilizacyjnej potędze kapitału. Z jednej strony podniósł on produkcyę, komunikacyę, sumę bogactwa; z drugiej zaś strony wywołał humanitarną działalność polityki społecznej. Kapitał, potrzebujący nowych pól odbytu, dał początek polityce kolonialnej, która spowodowała zajęcie się wyzwoleniem niewolników, rozwarła podwoje zamkniętych obszarów, udoskonaliła kulturę dalekich krajów i zbliżyła ludy.

Na żadnem może miejscu w dziele Duboca jałowość konstrukcyi filozoficznej nie występuje tak rażąco, jak w wywodzie powyższym. Zapewne przypomną sobie czytelnicy artykuł p. t. „Wielki słoń“, w którym *Prawda* dobitnie rzuciła światło na działalność Stanleya i podobnych jemu apostołów kolonizacyjnych. Skoro tak wygląda ma „zbratanie ludów“ to należałoby je wykreślić z rzędu ideałów ludzkości. Atoli Duboc z niezachwianym optymizmem wykazuje, że celem rozwoju dziejowego jest całkowite zlanie się interesów i sympatyi w człowieczeństwie, i że ważną fazą tego rozwoju jest umocnienie narodowości w stuleciu dziewiętnastem.

Duboc pokusił się w swej pracy o próbę psychologii czasów, mającej powstać jako nowa umiejętność obok psychologii ludów. Mówią, że okresy dziejowe, podobne do sfinksów, znikają w przepaściach czasu, skoro rozwiązano ich zagadkę. Czy Duboc rozwiązał zagadkę naszego stulecia? W dziele jego rozwiązania dopatrzeć trudno, ale pobudza ono do wytwarzania sobie własnych myśli o współczesnych objawach kulturalnych i historycznem ich znaczeniu, a to najskuteczniejsza droga do istotnego pokona-

---

stanę mamę. Opowiadał im, jak ich matkę kochał, jak ją do dziś kocha, rozpłakał się i łkając tłomaczył im potrzebę powtórnego ożenienia. Wanda, płacząc, całowała ręke ojca. Franek czuł, że go coś w gardle dławi, ponuro patrzył zasępiony. Kazio siedział spokojnie, chustkę od nosa na kolanie układał.

— Ty wiesz, Wando — mówił ojciec — jak trudno idzie gospodarstwo, jak koniecznie potrzebuje ono silniejszej, niż twoja, ręki. Przyznasz mi, że często odczuwasz potrzebę jakiegoś kobiecego serca, któremubyś zaufać mogła, kogoś blizkiego, kogobyś się zaradzić mogła. Wierzcie mi, dzieci, kiedyś zrozumiecie, że to raczej dla waszego, niż dla mojego szczęścia czynię.

— Popatrz Franek, to takie, jak wachlarz — wtrącił Kazio, pokazując ułożoną chustkę.

Wtedy to ojciec wstał, nie dodawszy słowa więcej. Poszedł do siebie i napisał do rodziców nieboszczki żony długi list z prośbą o przyjęcie do swego domu tego wyrostka, choć na czas jakiś, aby przyszła żona pierwej zapoznała się z resztą dzieci—zrozumiała, że nie wszystkie przecie takie. On by wobec niej nie zniósł wstydu, jakim go ciągle ten chłopak okrywa. On by może kiedyś usłyszeć musiał jakiś przycinek wymierzony przeciw tej męczennicy, matce wyrodnego dziecięcia, a wtedy serce nazbyt by go bolało.

W parę dni nadeszła odpowiedź od starych, którzy zięcia dosyć lubili, i Kazio znalazł się w domu swych dziadków.

Przyjęto go nawet wcale nieźle. Dziadek oddawna już dowodził, że temu chłopcu tylko ręki silnej brakuje, mundsztuka, na którym poprowadzić by go umiano. Rad niemal był, że będzie mógł wykazać korzyści dawniejszego sposobu chowania dzieci. Babka podobieństwa znowu do córki łatwo we wnuku dopatrzyła, pogłaskała go nawet i łakociami na początek przyjęła.

Niedługo to trwało. W parę dni babka przyszła do śniadania jakaś zamyślona, zdawała się szukać czegoś, odzywała się chyba półgębkiem, na domowników patrzyła zukosa. Zdziwiło to wszystkich, bo staruszka miłą była zazwyczaj, ale daremnie łamano sobie głowy domysłami.

Dopiero gdy wszyscy usiedli już przy stole, wchodzi Kazio z miną Judasza Iskaryoty i witając się, kładzie przed babką sztuczne zęby.

— Zapomniała sobie babcia, a czemby jadła?

Efektowna zaiste scena. I dziadka mundsztuk okazał się za słabym, by powstrzymać chłopaka od uganiania się za podobnymi efektami.

Tak spłynęło dwa lata; Kazio coraz bardziej bity, coraz bardziej brykał. Pod koniec drugiego roku, jesienią już, wybrał się wieczorem nad rzekę, aby rybakom ryby ze skrzyni wypuścić. Wpadł wtedy w wodę i ku stwierdzeniu przysłowia nie utopił się wprawdzie, choć tam głębia była, ale przeziębił się i zapadł na ciężką jakąś, gorączkową chorobę. Co to było, rzecz niepewna, bo jedni utrzymywali, że zgniła gorączka, drudzy, że żółta febra, a po lekarza nie posłano, ponieważ wszyscy się godzili, że pewnie go już Pan Bóg ze świata zabierze, by go w dobroci swej przed szubienicą uchronić.

Chłopiec pożółkł z początku, jak cytryna, a potem zrobił się bardzo oliwkowy. Gorączkował i majaczył. Jednego dnia niby lepiej mu było, drugiego, znowu dreszcze przychodziły. Kilka razy dostał nawet jakichś drgawek, łypał oczyma, pianę toczył — a tu znowu nie pogodziły się doświadczone kobiety. Babka utrzymywała, że to choroba św. Walentego, rezydentka zapewniała, że św. Wita.

Nie umarł jednak, wstał po jakimś czasie wyschnięty i kaszlący, a zły, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej, niż wprzody. Obchodzili go wszyscy zdaleka, o ile tylko mogli, bo bić go — nie bezlitosnem już, ale wprost wstrętnem im się wydawało, a wytrzymać z nim sposobu nie było.

Jednego poobiedzia wyszedł z domu i ni stąd ni zowąd znikł bez śladu, bez wieści. Widziano go, jak szedł do ogrodu, widziano go w ogrodzie; to też gdy późno już wieczór zaniepokojono się jego nieobecnością, przeszukano ten ogród z latarniami jak należało. Nic jednak nie znaleziono, tylko w jednem miejscu, koło jabłoni, gdzie ogrodniczek tego dnia jabłka zimowe obierał, krwi ślady psy zwęszyły. Wysoka drabina leżała porzucona na ziemi, i nic prócz tego, coby na trop chłopaka naprowadzić mogło.

W tydzień może dopiero ów ogrodniczek przyznał się pod sekretem stajennemu, że

nia okresu, który w życiu człowieczeństwa jest jeno momentem ewolucyjnym.

Stwosz.

FILOZOF
POD SĄDEM MIESZCZAŃSTWA.

W r. 1850 ukazało się jedno z pierwszych dzieł socyologicznych Herberta Spencera *Statyka społeczna*. Między innemi znajdujemy tutaj ustęp, poświęcony prawom użytkowania z ziemi. Rozumowanie autora mocno przypomina wywody filozofów społecznych z wieku XVIII. Treść mniej więcej taka; wszystkie stworzenia tego samego rodzaju, zrodzone w jednakich warunkach, posiadają jednakie prawa do świata, w którym się znalazły; żadne z nich nie ma prawa do usunięcia innych od czegokolwiek. A zatem bezwzględna sprawiedliwość oświadcza się przeciw wyłącznej własności ziemskiej; ludzie usunięci od ziemi z równą słusznością mogliby być pozbawieni życia. Zresztą prócz tej bezwzględnej moralności są jeszcze inne przyczyny, potępiające prywatne posiadanie gruntów, mianowicie przy bliższym rozbiorze okazuje się, że własność ziemska zrodziła się wszędzie z gwałtów i oszustw. Czyż jakąkolwiek można oprzeć na takiej bezprawnej podstawie? Wogóle prywatna własność ziemska posiada za sobą tyle słuszności, ile przysądzenie jednych ludzi drugim od pewnej szczególnej chwili dziejowej. Zresztą nikt nie wierzy w bezwzględne prawo landlordyzmu do ziemi; jeśli potrzeba przeprowadzić kanał lub drogę żelazną przez czyjś majątek, społeczeństwo nie cofa się przed wywłaszczeniem posiadacza wbrew jego woli, tem samem ogłaszając, że naród więcej posiada praw do gruntu, niż jednostka. Wobec tego społeczeństwo może upomnieć się o ziemię i odebrawszy ją, oddawać w dzierżawę od siebie, a ten stosunek zgoła nie zmniejszy swobody osobistej obywateli. Lecz sama kwestya powrócenia gruntów narodowi jest nader złożoną; widocznem jest jednak, że usuwając wyłączność władania, popełniamy mniejsze bezprawie, niż zatrzymując przywilej jednych a wywłaszczając innych. Słowem, zasada równej swobody dla wszystkich pociąga za sobą równe prawo każdego do gruntów. Narodowa własność ziemska daje się zupełnie pogodzić z wysokim stopniem cywilizacyi a jakkolwiek trudno rozwiązać tę sprawę, bezwzględna sprawiedliwość nakazuje to uczynić.

Było to przed laty 40, t. j. na początku okresu, kiedy w dążnościach społecznych Anglii ukazał się nie tylko zastój, lecz wprost uwsteczniente. Od lat kilkunastu wszakże w miarę jak Anglia traci swe stanowisko na rynku międzynarodowym, najmici zaś jej—swoje dawne wysokie zarobki, zaczynają się pojawiać żywsze prądy w kraju i między innemi w swoich dążnościach powoływać się na wywody autora *Filozofii syntetycznej*. Ten zaś coraz energiczniej odżegnywa się od takich zwolenników. Z tego powodu powstrzymał on nowe wydanie swojej książki od lat 12—15 i zabronił przekładów. Nie wiele jednak wskórał. Właśnie przed kilku miesiącami prasa angielska była widownią nader ciekawego zajścia, kiedy z jednej strony warstwy najmickie zastosowały do dzisiejszej chwili rozumowania *Statyki społecznej*, z drugiej zaś mieszczaństwo angielskie napadło za to na Spencera, i ten znalazł się pomiędzy dwoma ogniami. Polemika toczyła się kilka tygodni w łamach *Timesa* i zasługuje bezwarunkowo na bliższą lubo nieco spóźnioną wzmiankę*). Najmicka organizacya wyborcza w Newcastle wysłała niejakiego Laidlera, murarza do Morleya, miejscowego posła do parlamentu, ażeby wypowiedzieć przed nim swoje życzenia. W rozmowie poruszono sprawę gruntową. Laidler dowodził, że ziemia winna należeć do narodu, przyczem powoływał się na Spencera i jego odezwanie się, że „usprawiedliwiać jedno bezprawie—to znaczy popełnić drugie", i na tej zasadzie żądał wywłaszczenia landlordów, którzy do swoich majątków doszli gwałtem i oszustwem. Zgorszony Morley nacyonalizacyę rozbojem nazwał i w *Timesie* oskarżył Laidlera wraz z jego teorytycznym rodzicem, Spencerem. Naturalnie, ten ostatni pośpieszył czemprędzej z oczyszczeniem się od podobnego ojcowstwa. Przedewszystkiem zauważa on, że od lat wielu nie pozwala na sprzedaż *Statyki*, aby nie szerzyć tego rodzaju zapatrywań i chociaż w ogólnych zarysach pozostał przy dawnych założeniach, porzucił jednakże niektóre wypływające ztąd wnioski praktyczne. Zresztą pisząc wspomniane dzieło, miał na widoku „bezwzględną etykę polityczną," lecz nigdy „względnej," tj. możliwej do urzeczywistnienia w najbliższym czasie. Dowodził, że jedynie wystarczającą zasadą etyczną stosunku do ziemi jest wolna umowa pomiędzy ogółem a jednostką, nie mniemał jednak, aby ktoś zrobił już dzisiaj z tego sprawę praktyczną. Przypomina, że w *Urządzeniach politycznych* poruszył tę kwestyę, lecz narodowe władanie przedstawił jedynie jako coś możliwego, usuwając dawną swoją stanowczość. Wreszcie przytacza przeciw unarodowieniu gruntów zarzuty ekonomiczne i potępia wszystkie tego rodzaju dążności. Słowem, odżegnywa się od przyjaciół w rodzaju Laidlera.

Naturalnie, wyjaśnienie to nikogo nie zadowoliło. Mieszczaństwo angielskie w samem tłomaczeniu się znalazło mnóstwo niebezpiecznych dla siebie punktów. Wszak tutaj uznano „bezwzględną moralność" w narodowem posiadaniu gruntów, które potępiono jedynie z powodów praktycznych; nadto powtórzono, że oszustwo i rozbój są rodzicami prywatnej własności. Słowem, najwyższa powaga filozoficzna kraju poddaje w wątpliwość, chociaż wielce warunkową, jeden z filarów porządku publicznego! Wprawdzie Spencer z jednej strony usiłuje odczepić się od niepożądanych rzeczników, z drugiej utrzymuje swoje dawne teoretyczne założenia. W *Timesie* ukazuje się szereg listów ze strony oburzonego mieszczaństwa. Niejaki Greenwood pośpiesza z zaznaczeniem, jaką to ciężką, lecz dobrą nauczkę otrzymali panowie, pozwalający sobie filozofować nad zagadnieniami społecznemi. Wszak epoka dzisiejsza, to czasy masowej oświaty i ogólno-społecznego niepokoju, a tymczasem filozofowie, niepomni, że ich książkę czytać będą nietylko umysły poważne, lecz też tysiące warchołów, poruszają kwestye najdrażliwsze. Dobrze Spencerowi, niech nie igra z ogniem! Następuje potem szereg zarzutów a raczej wyrzutów za wyprowadzenie owej bezwzględnej etyki politycznej, która szubrawcom daje jedynie oręż

*) Czerpiemy z *Popular Science*. Spór toczył się w listopadzie 1889.

---

panicz przyszedł do ogrodu, kiedy on jabłka obierał, że mu na złość robił, a kiedy on jabłkiem nań rzucił, drabiną mu zachwiał tak, że on z wysokości może drugiego piętra na ziemię zleciał. Nic mu się nie stało, bo spadając o gałąź surdutem, szczęście, że nie ciałem, zawadził, więc sobie ino przyodziewę potargał. Ale zaraz w tym strachu i w tej złości tak panicza zbił, że się ten aż skrwawił i na ziemię bez duszy legł. Co się dalej stało, nie wiedział i tail się, a dopiero gdy usłyszał, że panicza szukają, znowu ze strachem do innych się przyłączył i najgorliwiej go szukał.

Stajenny to, co usłyszał, pod sekretem powtórzył kucharzowi, i tak dalej, aż doszło do pana. Zaczęły się dochodzenia, badania, ale równocześnie z niemi rozeszła się wieść, że przed kilku dniami, o świcie, we wsi może cztery do pięciu mil odległej, nieduży chłopiec na żyda modlącego się przed karczmą rzucił się z nożem. Pokaleczył go, ale ludzie z pomocą nadbiegli, a i żandarm się najawił i okutego rabusia do powiatu odstawił. Ludzie domyślni, jak zwykle, w rabusiu owym zaraz domyślili się Kazia.

I tę wieść jeszcze ciepłą doniesiono do uszu pana. Stary Nagolewski rozsierdził się okropnie, nafukał, ale z tem wszystkiem pojechał na wywiady.

W powiecie znajomych pan Nagolewski miał dużo. Ogródkami obchodząc, zażywając ludzi z mańki, rozpytywał się o te sprawę. I samego pana naczelnika od sądu w knajpce złapał i przy flaszce usadowił. Pewnego nic się wprawdzie nie dowiedział, ale powiedziano mu, że to nie był zwykły rozbójnik, tylko waryat, który na żadne pytania nie odpowiadał, a na wszystkich chciał się rzucać, którego też dlatego zaraz do Lwowa, do szpitala obłąkanych pod obserwacyę posłano. Dalej, że to był mały chłopak, którego rysopis najdokładniej zgadzał się z rysopisem Kazia.

Markotny bardzo, wracał starzec. W domu z żoną popłakali się oboje, że im przyszło takiego wnuka się dochować, i zaraz nazajutrz napisali do Lwowa do bratanka, który tam na synekurze siedział przy jakimś narodowym banku, aby się w szpitalu rozpytał.

Wkrótce nadeszła odpowiedź:

„Drodzy Stryjostwo! *Ma chère femme* zmartwiła się bardzo odebrawszy list kochanych Stryjostwa, a ja poszedłem prawie natychmiast do jednego, znajomego mi, bardzo sławnego doktora, by mi ułatwił *exploration de cette question.*

Przyjął mię jak zawsze z serdecznością bardzo wielką i oznaczył czas, kiedy pojedziemy do Kulparkowa. *Vous savez*, tam jest szpital *pour les folles*.

Pojechaliśmy wieczorkiem i byliśmy u dyrektora szpitalu, który nas też bardzo serdecznie, prawdziwie po przyjacielsku przyjmował, bo to jest, jak się później dowiedziałem, także *une des mes connaissances, et surtout* przez wzgląd dla mojego doktora, przyjaciela i cicerone.

Dowiedzieliśmy się potem, że rzeczywiście syn *de ce pauvre Charles* tu się znajduje. *C'est un grand malheur*.

Kiedy go przywieźli, przyszedł na chwilę do przytomności, i powiedział jak się nazywa, skąd jest i gdzie był. Zawiadomienie z urzędu przyjdzie do drogich Stryjostwa.

Tylko o tem, co się działo *de ce moment*, kiedy go jakiś ogrodnik uderzył, nic nie wiedział. *Malheureux* nie wiedział też, skąd się wziął w szpitalu.

Mais maintenant miewa znowu drgawki i mało kiedy jest przytomny. Doktorzy orzekli, że choćby i żył dłużej, to pewnie ogłupieje.

Mon Dieu! que faira ce pauvre Charles!

Powiedzieli mi też, jak się nazywa taka choroba: *furia postepileptica*.

A kiedyśmy wracali do Lwowa ze Stasiem, *j'ai deja ecrit*, że pojechałem tam z mym dobrym przyjacielem, bardzo uczonym i wziętym lekarzem — opowiedziałem mu przez drogę dzieje *de ce malheureux enfant, et il m'a dit*, że to już także była choroba: *petit mal*. I jakaś druga angielska: *moral insanity*. Że *les scrofules*, jakie miał, przyczyniły się pewnie dużo do rozwinięcia tych chorób. *Mon Dieu! quel malheur, quel grand malheur!*

Ce pendant ja i *ma femme* ściskamy kochanym Stryjostwu nóżki i rączusie całujemy, zawsze gorąco przywiązani.

Je vous salue

Bronislas Policarp de Nagolewski."

do ręki. Kto inny, Mallet, w swoim liście przypomina Spencerowi, że poglądy *Statyki społecznej* powtórzył w późniejszem dziele i zauważa, że ustęp ten był dla czcicieli wielkiego filozofa istotną niespodzianką i przykrością. I znowu denuncyują bezwzględną etykę polityczną. Wreszcie ukazuje się list Huxleya. I ten równie napada na ową „etykę bezwzględną“ i przeciwstawia jej „zdrowy rozsądek społeczny.“ Zauważa on, że największem nieszczęściem chwili obecnej jest usprawiedliwianie dzisiejszych dążeń przewrotnych względami filozoficznymi i archeologicznymi. Chcą wywłaszczyć dzisiejszych landlordów, ponieważ towarzysze Wilhelma I użyli gwałtu! Zdrowy rozsądek społeczny wykazałby, że każdy kawałek ziemi był wiele razy nabyty i sprzedany za uczciwie zarobione pieniądze.

W całym tym ataku mniej chodzi o zbicie wywodów Spencera, a nawet tego nikt nie próbował, lecz głównie o wykazanie niebezpieczeństwa podobnych teoryj i stanowisk dla istniejącego porządku rzeczy. Zamiast krytyki czyniono wyrzuty, że Spencer wydrukował coś podobnego. Laidler dodał jeszcze oliwy do ognia listem otwartym, w którym wypowiada swoje zdumienie, że Spencer wyrzeka się tak gorąco bronionych niegdyś twierdzeń i prosi go, aby wskazał jasno, jakie to wnioski porzucił mimo zatrzymania samych założeń. Obiecuje, że wtedy postara się go zbić jego własnymi argumentami. Ubolewa, że myśliciel ten nie pozwala partyi najmickiej na przedrukowanie odpowiednich ustępów ze *Statyki*, jako przewybornej broszury agitacyjnej. Cóż mówi na to wszystko sam Spencer? Pomieszcza on w *Timesie* list nader niewyraźnej treści, w którym uwzględnia jedynie napaść Huxleya. Lecz i tutaj ani słówkiem nie potrąca o główne zagadnienie; jedynie podnosi kwestyę filozoficzną i zupełnie obojętną, mianowicie, czy można dać jakąś bezwzględną etykę polityczną, i wykazuje, że trzymanie się samych wskazówek prostego rozsądku może zaprowadzić na manowce. O sprawie własności ziemskiej zupełnie milczy w tej odpowiedzi. List Spencera, wymijający umyślnie najważniejsze pytanie, znowu wywołuje nową powódź. Huxley występuje z zarzutem, że Spencer nie odpowiedział na pytanie zasadnicze, z kim trzyma, czy z ludźmi w rodzaju Laidlera, czy też jest odmiennego zdania i, jeśli jest, to w jakich punktach. Biolog ten poświęca wiele miejsca wykazaniu, że stanowisko Spencera w gruncie rzeczy jest to samo, co niegdyś Rousseau'a a obecnie Laidlera i znowu podkreśla niebezpieczeństwo takiej filozofii społecznej. Zjawia się nowy współzawodnik, Auberton Herbert, który z radością oświadcza, że Spencer już nieco porzucił swoje dawne stanowisko, przyczem usiłuje zbić „logiczne“ unarodowienie. Greenwood w dalszym ciągu denuncyuje dwuznaczność Spencera i jego twierdzenie, że „usprawiedliwiać jedno bezprawie, znaczy to popełniać drugie.“ Niejaki Wilson doprowadza założenia filozofa do absurdu, mianowicie, że grunta angielskie winnyby, jego zdaniem, należeć do całego rodu ludzkiego. Huxley występuje przeciw Laidlerowi...

Nie streszczamy szczegółowo zarzutów i rozumowań, zaznaczamy jedynie samo jądro polemiki. Bo chodzi nam o wskazanie stosunku partyj społecznych do twierdzeń naukowych. Poglądy Spencera odnośnie do ziemi wypowiedziane zostały przed laty 40 i nikogo nie raziły. Nic nie przeszkadzało mieszczaństwu widzieć w nich ostateczny wyraz swojej filozofii społecznej z różnemi prawami naturalnemi. Wprawdzie wnioski z tych założeń nawskroś indywidualistycznych prowadziły do konieczności unarodowienia gruntów (lecz nie zrzeszenia produkcyi), ale ponieważ nikt o to nie dopominał się, nie zwracano na to uwagi. Jednakże z czasem wypływają prądy, które chwytają za ten oręż teoretyczny. I oto mieszczaństwo występuje przeciw Spencerowi, lecz wcale nie usiłuje zwalić niesłuszności jego założeń — nie, o tem ani myśli, tylko wymyśla swemu filozofowi, że był na tyle niezręczny i wysunął takie kwestye. Nie pyta, czy on posiada logiczną słuszność, ale wprost daje do zrozumienia, że podobne zapatrywania, chociażby były najlogiczniejsze, winny być niewypowiadane. Zaiste, stanowisko nader charakterystyczne. I kiedy Spencer zamilknął, inne pisma (np. *Popular Science*) zaczęły przebąkiwać o niemocy fizycznej tego myśliciela, niepozwalającej mu dać wystarczającej odprawy warchołom w rodzaju Laidlera.

Zresztą cała polemika odbywała się na gruncie właściwym filozofii społecznej przeszłego wieku. Rozstrzygano w imię bezwzględnej etyki i bezwzględnej logiki, lecz nie zapytano o warunki rozwojowo-historyczne dzisiejszej chwili. Jedynie Huxley zajął to stanowisko, aby zbić teoretyczne założenia Spencera. Nie przeczuwał, że właśnie z tego punktu widzenia można wydać najsurowszy wyrok na własność prywatną. Szkoda że, zamiast uwikłanego w metafizyce społecznej Laidlera nie znalazł przeciwnika, rozpatrującego ziemską właśnie własność z takiego punktu, o ile jej istnienie zgadza się z dalszym postępowym rozwojem techniki rolnej i dobrobytu społecznego.

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

NEORITTERYANIZM W GEOGRAFII.

Idea geograficzna Rittera, to jest idea związku między człowiekiem i przyrodą, zaniedbana nieco w Niemczech z powodu wskazanego przez Peschla fizycznego kierunku w geografii, znalazła natomiast naśladowców, a po części i kontynuatorów pomiędzy uczonymi francuskimi, jak np. Elizeusz Reclus. Do tego samego kierunku należał świeżo zmarły jego przyjaciel i współpracownik, Leon Miecznikow, profesor w Neuchatel, którego poglądy na tę kwestyę znajdujemy w pośmiertnem dziele: *La civilisation et les grands fleuves historiques* (1889) opatrzonem przedmową Reclusa.

Praca ta, jak jej tytuł wskazuje, ma na celu wykazać wpływ wielkich rzek na rozwój cywilizacyi, w początkowych jednak rozdziałach rozbiera autor z ogólnego stanowiska ideę zależności człowieka od przyrody i przyznaje czynnikom geograficznym przewagę nad czynnikiem dziedziczności. Wobec dość powszechnie panującego w etnologii zapatrywania wprost przeciwnego, kwestya ta ma szczególniejszy interes dla geografa, posłuchajmy więc dowodzeń Miecznikowa.

Dla wyjaśnienia tak różniących się od siebie ról, jakie różne narody odgrywały i odgrywają na arenie historyi, współczesna nauka nie może powoływać na pomoc przypadku lub opatrzności, lecz przedstawia nam dwie teorye. Jedna, *etnologiczna* przypisuje różnice cywilizacyjne różnym zdolnościom ras; druga, *geograficzna* szuka przyczyny w działaniu otoczenia (milieu). Pierwsza opiera się na zachowawczej zasadzie *dziedziczności*, druga na transformicznej zasadzie *przystosowania się do otoczenia*.

Wybitny przedstawiciel pierwszej teoryi, Letourneau przemawia w te słowa:

„Istnieje hierarchia ras ludzkich... Rasa ma większy wpływ na rozwój socyologiczny niż otoczenie. Jakąkolwiek byłaby siedziba człowieka, jest on źle uposażony, jeżeli nie posiada pewnej sumy zdolności nabytych zwolna w walce o byt i przekazanych przez dziedziczność. Otoczenie czyni wiele, ale nie wszystko, rasa ma większe znaczenie. Nie istniała nigdy wielka cywilizacya murzyńska. Starożytni egipcyanie byli tylko negroidami i metysami; rasy azyatyckie i berberyjskie udzieliły im swej krwi. Nigdy rasa niższa anatomicznie nie stworzyła wyższej cywilizacyi. Na takiej rasie ciąży przekleństwo organiczne, którego ciężar może się zmniejszyć tylko w ciągu epok geologicznych. Otóż pod względem szlachetności organicznej rasy ludzkie bardzo się różnią między sobą: jedne są wybrane, drugie skazane na potępienie... Twierdzono (Buckle), że pierwsze cywilizacye, zasługujące na to miano, rozwijały się tam tylko, gdzie państwo roślinne dostarczało łatwego pożywienia. Jest część prawdy w tem twierdzeniu, lecz warunki otoczenia nie stanowią wszystkiego. Czyż są pod tym względem szczęśliwsze okolice, niż błogosławione wyspy Oceanii międzyzwrotnikowej? A jednak człowiek pozostał tam w stanie pierwotnym“ itd.

Na te i tym podobne zarzuty oraz teorye ras „wybranych“ i „potępionych,“ przypominające w zupełności poglądy dawnych plantatorów amerykańskich, odpowiada bardzo słusznie Miecznikow, że owe zarzuty nie odnoszą się bynajmniej do teoryi geograficznej wpływu otoczenia, lecz jedynie tylko do nadużyć, jakie popełniają niektórzy jej jednostronni zwolennicy, przesadzając wpływ szerokości geograficznej, a właściwie linii izotermicznych. Co zaś do ras „wybranych“ i „potępionych,“ to zapytuje, w jaki sposób można odróżnić jedne od drugich: tutaj dopiero zaczyna się trudność.

Od ostatniego stulecia usiłowano często podzielić rodzaj ludzki na ściśle określone grupy. Niektóre z tych usiłowań opierały się na barwie skóry, a przecież nikt nie chciałby określać rasy psa lub konia według barwy jego szerści. Inni klasyfikują ludzi według przekroju włosów, owalnego lub okrągłego. Inni jeszcze—według kształtu czaszki szerokiego lub wydłużonego itd. itd. Próby klasyfikacyi opartej na podstawie nie jakiejś mniej więcej powierzchownej cechy, lecz na całej sumie cech zasadniczych doprowadzają tylko do sprzeczności.

„Gdyby rasy ludzkie—mówił Topinard—były czyste, to dla ich klasyfikacyi wystarczyłoby zesumować ich różnice i podobieństwa, wziąć w rachubę zmiany osobnicze i usterki patologiczne. Ale rzecz ma się inaczej: jednolitości brak tu zupełny; rasy zostały podzielone, rozproszone, pomieszane, skrzyżowane we wszystkich proporcyach, we wszystkich kierunkach podczas tysięcy wieków; wiele z nich zmieniło swój język na język zwycięzców, następnie porzuciło go dla trzeciego, jeżeli nie czwartego; zamiast ras wystąpiły narody, które trzeba klasyfikować i początku ich dochodzić. Jedynie tylko wyjątkowo śród ludów odosobnionych, jak eskimowie z Grenlandyi lub tasmańczycy wyspy Van Diemena klasyfikacya rodzaju ludzkiego ma jeszcze jakiś sens. Ale po za tymi wyjątkami pozostaje jedynie etnograficzny punkt widzenia, wyrazem *rasa* posługujemy się w najniewłaściwszem znaczeniu. Mówimy np. o rasie indo-germańskiej, łacińskiej, niemieckiej, angielskiej, słowiańskiej, jak gdyby w nazwach tych kryło się coś więcej nad pojęcia polityczne, nad przypadkowy zlepek najrozmaitszych pierwiastków antropologicznych. Klasyfikacya rodu ludzkiego wtedy tylko mogłaby być naprawdę przeprowadzona, gdyby poznano elementy, składające dzisiejsze ludy.“

Ponieważ w historyi cywilizacyi nie mamy nigdy do czynienia z „ludami odosobnionymi, jak eskimowie lub tasmańczycy,“ więc trzeba przyznać wraz z Topinardem, że wszystkie antropologiczne klasyfikacye rodu ludzkiego nie mają znaczenia, szczególniej w kwestyi socyologicznej i hi-

storycznej. Co do klasyfikacyi lingwistycznej, to ta przedstawia rzeczywiście więcej jednolitości logicznej i ścisłości, ale posiada tylko wartość względną: jest ona mianowicie bardzo użyteczna, gdy chodzi o usystematyzowanie naszych studyów językowych i etnograficznych, ale nie może rzucić żadnego światła na zagadnienia socyologiczne i historyczne. Gdybyśmy się opierali na hierarchii lingwistycznej, to musielibyśmy zaliczyć chińczyków i inne ludy Azyi wschodniej, mówiące językami jednozgłoskowymi, do najniższej kategoryi „potępionych.“ Przeciwnie, tacy zulowie, beczuani i wogóle ludy Afryki południowej, które używają narzecza *bantu*, tak dźwięcznego i giętkiego, tak zdolnego do wyrażenia najsubtelniejszych odcieni uczuć i myśli, miałyby zupełne prawo figurowania śród ras „wybranych.“

Letourneau wprawdzie doskonale pojmuje rozpaczliwy stan klasyfikacyi antropologicznej i niedostateczność lingwistycznej, sądzi jednak, iż znalazł zbawienie, traktując tę trudną kwestyę z wysokości punktu widzenia czysto historycznego i socyologicznego. Dla „wybrania“ i „potępienia“ wystarcza mu podział ludzkości na trzy grupy, charakteryzujące się po części przez mniej lub więcej ciemną barwę skóry, po części przez cechy anatomiczne, a przedewszystkiem przez swe ustosunkowanie do cywilizacyi i historyi:

1-o. Rasa *czarna* przez dziedziczność niezdolna bez zmieszania się z wyższą do stworzenia cywilizacyi.

2-o. Rasa *żółta*, mongolska lub mongołowata, wyższa od poprzedniej, zdolna po części do wyższej cywilizacyi (Chiny, Meksyk, Peru).

3-o. Rasa *biała* wreszcie, która „wzniosła się o kilka stopni wyżej w hierarchii organicznej. Mózg jej powiększył się, czoło rozszerzyło i wyprostowało, szczęki zmniejszyły się; niema w tej grupie prognatyzmu i grubych warg.“ Rasa ta przez dziedziczność posiada zdolność do tworzenia cywilizacyi wyższych i trwałych.

Powyższa klasyfikacya ma rzeczywiście za sobą nadzwyczajną prostotę, ale na nieszczęście konstatuje one jedynie fakty, i to nie zawsze zupełnie ściśle, lecz nic daje bynajmniej ich wyjaśnienia.

Większość ludów, które grały lub grają pierwsze role w dziejach powszechnych, zaliczana bywa rzeczywiście do jednej z gałęzi (semickiej lub aryjskiej) rasy białej. Takimi są lub byli aryowie Pendżabu, iranczycy, asyro-babilończycy (w części), fenicyanie, helenowie, italowie, galowie, germanie i ludy cywilizowane Europy średniowiecznej i dzisiejszej z wyjątkiem basków i, być może, finnów oraz węgrów.

Nie zapominajmy jednak, że grupa aryjska, najlepiej bezwątpienia zbadana ze wszystkich gałęzi rodu ludzkiego, nie przedstawia jednolitości, która dałaby się naukowo wykazać, wyjąwszy jedynie względ lingwistyczny. Zacząwszy od bramińskich hindów, a skończywszy na dolichocefalicznych blondynach Niemiec północnych, napotykamy w tej gałęzi nieskończone odmiany w kolorze skóry, włosów i oczów, w kształcie czaszki i w innych cechach antropologicznych. A ileż to ludów, należących do tej grupy, nie odznaczyło się więcej na polu historyi, niż najczarniejsi murzyni Gwinei, niż rasy najbardziej „potępione“ Afryki środkowej! Afganie uważają się nie bez racyi etnologicznej za bliskich krewnych narodu angielskiego, a jednak jakże niepodobne są losy historyczne obu tych narodów! Lud najbardziej oporny wszelkiej cywilizacyi, beduini, którzy, mimo wielokrotnego stykania się z najwyżej rozwiniętemi cywilizacyami, pozostali do dziś na tym stopniu, na jakim stali za czasów faraonów, należą przecież do semitów i to czystszych, niż ich współbracia z Mezopotamii, którzy jednak stworzyli świetną cywilizacyę asyro-babilońską, a później cywilizacyę kalifów. A więc możnaby powiedzieć: aryowie i semici o cerze mniej lub więcej białej są pośród różnych grup ludzkości jedynemi, które *przy pewnych warunkach* stworzyły najpotężniejsze państwa z trwałemi cywilizacyami. Ale ponieważ *przy innych warunkach* ludy tej samej rasy miały zupełnie inne losy historyczne, więc widocznie, że środek ciężkości w danej kwestyi nie leży w zdolnościach rasy, lecz w tych warunkach nieokreślonych.

Podobnież rzecz się ma z drugą grupą Letourneau'a z człowiekiem żółtym, mongolskim lub mongołowatym. Ze wszystkich ludów starego świata, które ten autor połączył pod tą rubryką, jedni tylko chińczycy zajmują miejsce honorowe w historyi rodu ludzkiego; wiadomo jednak, że tak przez swój język, jak i przez wygląd fizyczny różnią się oni znacznie od innych narodów mongolskich. Co zaś do państwa czysto mongolskiego, Dżengischana i jego następców, to posiada ono wprawdzie wielką sławę w historyi, ale jest to sława Herostrata; nie można więc stawiać tego państwa wyżej od niektórych państw murzyńskich, przedewszystkiem od tego tajemniczego, po którem pozostały godne uwagi ruiny Zimbabye.

Z narodów starego świata, oznaczonych etykietą „rasa żółta,“ pozostaje nam jeszcze wspomnieć turków-osmanów. Ci zapisali rzeczywiście swe imię na kartach historyi, ale nigdy jako założyciele cywilizacyi: często porównywano ich rolę do roli szakali i ptaków drapieżnych, które zajmują miejsce policyi w miastach muzułmańskich, pożerając nieuprzątaną padlinę; podobieństwo to nie jest jednak zupełnie dokładne, jeżeli bowiem turcy opanowali zwłoki cywilizacyi bizantyjskiej i Kalifatu, to nie zajmowali się bynajmniej trupem, pozwalali na swobodny jego rozkład. A jednakże ci turcy-osmanie, podobnie jak tatarzy krymscy, tylko językiem należą do familii uralo-altajskiej; antropologicznie zaś mówiąc, są oni *uszlachetnieni*, spokrewnili się bowiem z rasą białą przez wiekowe zaopatrywanie swych haremów kobietami porywanemi lub kupowanemi w Grecyi, krajach dunajskich, w Polsce, Ukrainie, na Kaukazie i Armenii.

(D. n.).

W. Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

WIDOWISKA W OBERAMMERGAU.

20 czerwca.

Słynne przedstawienia pasyjne, odbywające się co lat dziesięć w zacisznej wiosce bawarskiej, ściągnęły tego roku większe jeszcze tłumy ciekawych, niż w r. 1880. Widowiska te datują się od r. 1633; powstały one wskutek ślubu, uczynionego przez mieszkańców Oberammergau w czasie zarazy, a potem wpłynęły na kierunek i charakter ludności, nadając jej cechy oryginalne. Cała wioseczyna otoczoną jest dziwnym tchem tradycyi pobożnej. Na lśniących, bielonych ścianach jej domków przytwierdzone są drewniane i blaszane tarcze, ozdobione malowidłami kościelnemi w stylu XVII stulecia. Po nad wioską wznoszą się grzbiety gór, a na szczycie najwyższej z nich jaśnieje wielki krzyż drewniany, obity kruszcem. I włościanie sami wielce się różnią od ludności okolicznej. Nie mają oni wogóle właściwego typu chłopskiego: zajęciem ich jest przemysł artystyczny, znają ich po całych Niemczech jako „Herrgottschnitzer,“ a zajęcie to wraz z „nabożnem komedyanctwem“ nadało im pewną miękość, powagę i nabożność. Uderza zwłaszcza Chrystusowy układ włosów, spływających gładko na ramiona po obu skroniach, u tych ludzi, ubranych w kurtki gospodarskie, skórzane spodnie i bawełniane pończochy.

Oberammergau liczy do 1,200 mieszkańców, w pantominach zaś bierze udział 697, większa część mieszkańców zajętą tedy jest studyowaniem ról. Rada teatralna, złożona z trzydziestu osób, czyni przygotowania przez lat dziesięć i w toku prób nieraz zmienia obsadę. *Tout comme chez nous*, wytwarza to często starcia wśród ludności, istnieje bowiem w Oberammergau pewna duma, oparta na monopolu odtwarzania pewnych ról, do których mieszkańcy z latami dochodzą: dziecko, które na rękach matki wystąpiło na scenie jako dziecko rzymskie, po latach ma pretensyę grania żołnierza.

Budowle, w których widowiska się odbywają, pierwotnie były nader skromne. Edward Devrient, które je zwiedzał w r. 1850, opowiada, że wiejski nauczyciel rysunków, Pflunger, który grywał Chrystusa, ozdobił szczyt sceny kolosalnemi postaciami wiary, miłości i nadziei; dekoracye były beztylowe, barwy pstre, przeważnie jasno zielone i różowe nadawały teatrowi niemal cechę budy jarmacznej. Atoli wówczas już szerokość sceny wynosiła 60 stóp, a sam obraz, przedstawiający plac między domem Piłata i Ananasza i ujścia kilku ulic jerozolimskich, mimo swej pierwotności, silnie działać miał na wyobraźnię. Z czasem wystawiono teatr okazalszy; w r. 1870 koszta jego wynosiły już 40,000 marek, dziś wzrosły jeszcze znacznie, aczkolwiek i obecnie zbudowano go z drzewa. Obejmuje on tego roku 4,000 widzów. Atoli nie oberammergauczycy urządzali dziś scenę; dopomogły im Wiedeń i Monachium, a miejsce nauczyciela Pflungera zajęli Lautenschläger i Burghardt. Scena, o szerokości 42 m., o głębokości 26 m., posiada dwie dekoracye o nienagannej czystości stylu. Tworzą one w głębi półkole okazałe: w środku widzimy świątynię grecką, obok na prawo i na lewo łuki przesklepiające ulice, które ciągną się długą perspektywą, zamkniętą błękitem nieba bawarskiego i zielenią polan górskich, z tyłu do rozwartego teatru zaglądających. Dalej, niejako narożne ulic tych domy, wznoszą się pałace Piłata i Kaifasza. Każdej z tych części sceny użyć można jako miejsce dla osobnego widowiska, tak iż ona przedstawiać może równocześnie ośm obrazów, składających się na całość imponującą. Kurtyna jest tu zbyteczną, gdyż widowisk pasyjnych nie podzielono na akty. Głębię jeno zakrywa zasłona, ozdobiona podobizną Mojżesza, Michała Anioła oraz postaciami Izajasza i Jeremiasza; rozwiera się ona w ten sposób, że górną połowę podciągają, dolna zaś zapada się.

Lautenschläger jest autorem nowych scenaryuszów do utworów Shakespeare'a, opartych na tendencyi powrotu do pierwotnej prostoty wystawy. On i podobni jemu przyjaciele sceny pielgrzymują do Oberammergau, aby podpatrzyć zwykle a dzielne środki, którymi wiejscy reżyserowie wywołują olbrzymie efekty w boskim swym dramacie. I bez wątpienia teatr ten będzie główną podstawą dla reformy, dążącej do uproszczenia aparatu scenicznego. Na odwrót Oberammergauczycy uparcie dążą do zbudowania olbrzymiej sceny żelaznej; projektują oni budynek w stylu romańskim o wielkich oknach, otwierających się ku górze. Ambitni włościanie przeoczają, że mieszczanie, nadpływający dziś do nich tłumami, niezawodnie przestaną wybierać się do Oberammergau, skoro ujrzą tam jeno kopię tego, co mają u siebie w wydaniu doskonalszem. O treści widowisk i ich stronie aktorskiej doniesiemy w liście następnym.

Ladawa.

LITERATURA POLSKA.

Rapacki Wincenty: *Hanza.* Powieść z XV wieku. Warszawa, 1890.

— *Trefniś.* Nowele, obrazki i szkice. Warszawa, 1890.

Udajmy się za autorem. Oto jesteśmy w wieku XV, w czasach Jagiełły i bitwy pod Grunwaldem. Jestto początek tryumfu oręża polskiego w walce z krzyżactwem i schyłek przewagi nad handlem spolszczonych mieszczan—Hanzy. Wątek powieści snuje się na tle walki kupiectwa krakowskiego z potężną średniowieczną korporacyą handlową—Hanzą, i wyjęty został przez autora ze starych akt grodzkich, zpośród licznej rzeszy podobnych epizodów. Wiadomo, czem była Hanza w średnich wiekach: organizacyą międzynarodowej wymiany towarowej w Europie środkowo-północnej, przykrojoną do ducha czasu. Ludzie, składający ją, podlegali surowej regule klasztorno-wojskowej. Ssawki swego pośrednictwa zapuszczała ona również w grunt rodzimy, niemiecki, jak i obcoplemienny—słowiański. Nad życiem Krakowa i Nowogrodu ciążyła: wprawa, doświadczenie kupieckie i wogóle wyższość kulturowa hanzeatów Bremy i Lubeki. Filia ich gnieździła się u nas w Krakowie, w Sukiennicach, gdzie stanowiła rodzaj państwa samodzielnego sądowniczo i wojskowo—w państwie. Jak każdy monopol dzisiejszych czasów, tak i hanzeatycki z w. XV dolegać musiał aspirantom tego samego zawodu. Bez walki nie mogło się obejść, gdy zaś zważymy, że sprawcami dolegliwości byli przybysze obcej krwi a pyszni z tryumfów, walka musiała być zaciętą. Ale czterysta lat temu nieznaną była teorya duszy rasowej, owoc apoteozy plemiennej naszych czasów, i walka wzbogaconych kupców krajowych, Wierzynków z Oldermanami Hanzy—toczyła się bez osłonek obłudnych. Nieznane było w XV stuleciu hasło: „Popierajmy przemysł i handel krajowy!“. Dopiero potrzeba było doktryn, uwitych z przesądów rasowych, pruskich komisyj kolonizacyjnych, masowych banicyj Bismarka, przemysłu rękami niemieckiemi szczepionego, Łodzi i Sosnowic, „Drang nach Osten,“ ażeby serce rozżalone poszukiwało w przeszłości odległej takich samych żywiołów sytuacyi, kształtowało z nich obraz na wzór i podobieństwo—teraźniejszości. Wroga, który nam dużo cierpień zadał, prędko podnosimy do godności zjadliwej i przewrotnej żmii, siebie zaś samych mieścimy w rzędzie gołąbków niewinnych. Wróg jest przeklętem naczyniem zbrodni, my zaś chodzącym przybytkiem cnót wszelakich.

Otóż p. Rapacki, jako pisarz takiego otoczenia i takiej atmosfery duchowej, nie winien temu, że członkowie filii Hanzy niemieckiej w Krakowie uginają się w jego powieści pod brzmieniem zbrodni przerozmaitych, gdy tymczasem kupcy swojskiej gliny są oskrzydleni takim doborem cznów szlachetnych, że tylko czekają, aż św. Piotr da sygnał wzlotu do nieba... Nie myślę przez to folgować barkom kupców niemieckich. Kronika z XV w. mogła zanotować takie fakty, jak fałszerstwo talarów, dokonywane przez Justusów Knabów i jego towarzyszy współplemiennych, intrygi Oldermana Bonara względem cnotliwego Wierzynka, morderstwo księcia oświęcimskiego, dostarczanie nieznanego w kraju prochu dla króla węgierskiego przeciw Polsce i wreszcie strzelanie z przechowywanej w tajemnicy armaty do mieszczaństwa krakowskiego; ale nagromadzenie w obrazie tylu barw czarnych na grupie hanzeatów, a jasnych na Ziembach, Wierzynkach itp. to, przepraszam szanownego autora, dorobek naszych czasów.

Powieść jednak p. R. napisana jest żywo i przez miłośników obrazów historycznych przeczytana być może z zajęciem. Osią jej, wprawioną w przewrotne praktyki Hanzy, jest naturalnie dramat miłosno-rodzinny. Olderman Hanzy, Rheinhold von Bonar, swojego czasu uwiódł Agatę, córkę Ziemby, mieszczanina z Kleparza, i przez to stał się ojcem syna, Rudolfa, którego malcem jeszcze posłał nad Ren, do Kolonii, żeby tam mu wyjęto „duszę polską,“ a natomiast włożono—„hanzeaty-niemca.“ Agata wyszła dla uratowania czci za kuternogę, Justasa Knabego, łotra z pod ciemnej gwiazdy, Bonar zaś ani dla niej, ani dla syna nie stracił serca; przeciwnie, tem goręcej ono mu ku nim pałało, im głębiej wobec rygoru i kontroli korporacyi musiał ukrywać się z uczuciem kochanka i ojca. Oto przez las żywiecki, przez włość Przemysława, księcia na Oświęcimie i Cieszynie, wlecze się kompania kolońska z towarami dla Hanzy krakowskiej i synem dla jej kierownika Bonara. Kompanię w drodze, pomimo układów starego księcia, rozbija młody, za co niebawem pada od mściwej strzały nasadzonego przez Bonara mordercy. Rudolf zaś wraca tylko w szatach hanzeaty, lecz z nieuszkodzoną duszą polską pod niemi. Z dniem każdym rosnąc w uczuciu narodowem, zawodzi srodze nadzieje Hanzy i ojca, wyłamuje się z reguł, brata się z mieszczaństwem polskiem i nic nie wiedząc, że dymisya dana mu przez Hanzę jest czasową, wbrew srogim jej przepisom żeni się z córką Wierzynka. Uczta weselna jest wysoce uroczystą chwilą: stryj panny młodej kosztem wykrycia jaskini fałszerzy pieniędzy wyjednywa u Hanzy, że jak dla własnych celów ściągnęła na jego głowę klątwę kościoła, tak znow za swoim wpływem zdejmuje ją z niego i wraca światu, stary zaś Ziemba przyjmuje do siebie matkę Rudolfa, którą był wyklął za związek z niemcem. Ale szczęście w zawięzi ginie, Hanza podstępnie z orszaku weselnego uprowadza do Sukiennic Rudolfa i tam, wobec kochającego ojca, spełnia nad nim wyrok śmierci. Odtąd dumny Bonar, który długo interesowi korporacyi pozwalał deptać swoje serce, podstępnie strącony z zajmowanego stanowiska, stokrotnie upokorzony, wpierw wypowiada bunt tyrańskiej Hanzie, przypomina sobie, że daremnie rzucił jej pod nogi najlepszą cząstkę duszy i zapomniał o prawach człowieka. Nie wraca już do niej, lecz żeni się z Agatą, wsiąka w mieszczaństwo krakowskie, rozmnaża swój gatunek i staje się protoplastą bogatego i sławnego rodu Bonarów — polskich... A tłem wymownem tego wszystkiego jest goniec przybywający z pod Grunwaldu obwieścić zwycięstwo.

Jednę cechę powieści p. Rapackiego należy podnieść. Serce jego nasycone goryczą i wstrętem w dzisiejszych warunkach do niemców, z upodobaniem poszukuje w przeszłości pokrewnej karmi dla duszy, chciwie zgarnia przewinienia niecierpianego żywiołu. Typowy nasz teutonożerca bywa zwykle zażartym antysemitą. P. Rapacki niezmiernie sympatycznie przedstawia żydów krakowskich z XV w.; nie dość tego, otacza ich obrońców przed prawami wyjątkowemi szczególną czcią. To nam pozwala przypuszczać, że szanowny autor o jeden wstręt plemienny jest zaszczytnie uboższy...

„Trefniś“ p. Rapackiego jesto zbiór nowel, obrazków i szkiców. Tu kilka tych drobnostek, objętych ogólnym tytułem „Z dziejowego pomroku,“ stanowią właściwie strzępy przeszłości, umaczane w serdecznem źródle nienawiści plemiennej lub świętego oburzenia na nieludzkość prusaka, np. „Hundsfeld“ (Psie pole), „Zasadzka.“ Ta ostatnia jest znaną wiadomością kronikarza o zasadzce krzyżaków na Jagiełłę, za niedoszły zjazd w Wielonie. W szkicu p. n. „W setną dwudziestoletnią rocznicę“— autor zakrwawia serce czytelnika zestawieniem dwóch okrucieństw pruskich: porwanie przez Fryderyka Wielkiego z Prus Królewskich i Pomorza 7000 dziewcząt polskich na żony dla bohaterów wojny siedmioletniej w r. 1765 i wygnanie edyktem Bismarka z Prus 30,000 robotników polskich w r. 1885· Resztę zbiorku zapełniają nowele z życia chłopskiego: „Romans Antka Grudy,“ „Powaga Gminy“ i „Dwa nieszczęścia,“ oraz obrazy życia aktorskiego. Te ostatnie mieszczą w sobie niejedno ciekawe spostrzeżenie i noszą cechę pamiętnika świadka naocznego.

Zyg. Piet.

ŚMIECH I ŁZY.

(List lwowski).

Zgnilizna stosunków ekonomicznych w Galicyi nadać musi i twórczości poetyckiej odpowiedni kierunek. Na piaszczystych wydmach nie wykwitają lilie poezyi. Głód i upodlenie wycisnęły piętno swe niety̆lko na duszy, ale nawet na twarzach naszych—czuć już w powietrzu cuchnący egoizm i zatratę godności ludzkiej. Nasi nadserdeczniejsi zatykają sobie uszy watą, aby nie słyszeć jęków boleści, karmią się umyślnie w tym celu przyprawianą papką literacką; lecz nawet do tych górnych sfer dolatuje już woń stęchlizny, a wszystko, czego dotkną, rozsypuje się pod ich rękami w proch. Na takiem śmiecisku krzewią się i rozrastają najswobodniej chwasty satyry. Takim satyrykiem *par excellence* jest młody poeta*), którego wiązankę pierwiosnków—częściowo drukowanych po naszych humorystycznych i tygodniowych pismach— ocenić chcemy. Fizyognomia jego niełatwa do uchwycenia. Ma on niezaprzeczenie pewne zalety towarzyskie i wrodzony dowcip, co go czyni pożądanym nabytkiem salonów koła artystyczno-literackiego, gdzie bierze żywy udział w „kwiatowych“ rautach na cześć naszych i obcych wielkości, w chwilach namaszczenia zasiada nawet do stołu uczonego Towarzystwa imienia Mickiewicza, aby np. sprowadzić zwłoki nieśmiertelnego wieszcza *cudem* na ojczyzny łono. Czas wolny od tych zajęć i od ciężkiej, krwawej pracy zawodowej — p. K. jest nauczycielem gimnazyalnym — poświęca muzom. Gdyby wierny swej zasadzie, wygłoszonej pod adresem lirycznej, rozkwilonej braci w Apolinie — aby zstąpiwszy z po za chmur, pozłacanych zachodzącym słońcem romantyzmu, przyłożyli swe uszy do matki ziemi i słuchali bicia serc bliźnich — czerpał sam natchnienie z otaczających go „kół,“ byłby może zasłynął jako wielki satyryk, bo zaiste w „kołach“ jego gnieżdżą się przepyszne okazy pawiów z długimi ogonami, nietoperzy unikających światła, indyków srodze nadymających się za okazaniem rąbka czerwonej podszewki... Niestety szczęśliwy tłomacz Arystofanesa, zapatrzony w oblicze swych klasycznych mistrzów, nie poszedł drogą realistów. Zamiast miażdżenia satyrą moralnej i umysłowej nędzy decydujących „kół,“ pozwolił sobie od przyjaciela (Rodocia) trzepaczki ironii i zaczął nią z lekka muskać po wzdętych falach najogólniejszych grzechów ludzkich, a nauczył się tak zgrabnie wywijać, że nietylko nie zadrasnął nikogo, ale owszem wielu zabawił i rozśmieszył.

Przejrzyjmy z powietrznej perspektywy dziedzinę jego twórczości. Koło satyryka toczy się najchętniej po karkach szlachetnie urodzonych, przypominając im bankructwo kapitałów ulokowanych na zasługach przodków, a często ta jest najśmielszą. Oto np. dziad Jaśnie Oświeconego założył przed wiekiem dom podrzutków. Panicz, wnuk jego, poznaje córkę dyurnisty i pracując z nią społem... zaludnia zakład dziadowski. Szczęściem zmywa te i haniebniejsze jeszcze

*) Konarski Franciszek: *Śmiech i łzy*, 171.

brudy „młodego pokolenia“ chwała antenatów, jak np. owa „praprababka, co fundowała klasztory dwa z kościołem“ (czy to także należy do szeregu tych wielkich czynów?). Natomiast służalstwo lizunów, bijących pokłony przed ołtarzem Jego bydlęcej Mości z Memfis, znalazło ciętą odprawę w wierszu p. n. „Apis.“ Wyobraźcie sobie byka spasionego przy złocistym żłobie, jak ogonem wywijając, ryczy, a rzesza jego wielbicieli kornie schylając czoła, zachwyca się jego tym rykiem. Po śmierci nawet, gdy wół wyciągnie kopyta, tłum czcicieli nie spocznie, lecz głowy ze smutku ogoliwszy, wielbi cnoty nieboszczyka. Jakkolwiek nie szczędzi poeta cięgów szlachcie, to przecież nie zawsze stanowisko, z jakiego tu wychodzi, jest właściwe. Podpatrzyliśmy je z końcowej walki „Antenatów,“ którą tu odsłaniamy:

O, jabym także biegł z zachwytem
W mych przodków czasy lepsze
Lecz cóż? Dziad dumał nad kopytem
A papa — rzezał wieprze!

Podobnej ironii pozwala sobie poeta nietylko względem rzemiosła, ale raz przedrzeźnia nawet krwawej doli chłopa i sługi. Gdy bowiem w sielance „Korale“ Grzela z miłości do swej Magdy, ukradłszy sznur paciorek, dostał się do kryminału, cieszy się z tego i z wyżyn swej ironii każe kochankom zamiatać *razem* ulicę... Nie mniej przykre wrażenie sprawia na nas bal „pod sroką,“ gdzie „kawalery od podłogi“ wybijają hołubce z „damami od koromesła.“ Satyra p. Konarskiego lubuje się też czasem w komice niższego rzędu. Rozbijanie głów, tłuczenie luster, rzucanie stołków itp., z drugiej strony szyderstwa z otyłości, brzydoty itp. ułomności ludzkich wydarzają się wprawdzie rzadko, ale szkodzą wrażeniu całości. Czyż naprawdę po zatem byłoby już wszystko równe i proste?

W kwestyi żydowskiej należy poeta do budowniczych złotych mostów przymierza z bracią polakami wyznania mojżeszowego. Boli to go szczerze, że na każdem z pól pracy społecznej piętrzą zapory dla żydów, żądając od nich prawdziwej miłości tego kraju w zamian za to, że przed pięciuset laty nie poskąpiono im wody i powietrza; przyznaje jednak, że wybrani przez Jehowę, nie siejąc, ani orząc, jak lilia biblijna, zbierają bogate plony pracy goimów, zdaje się nawet podsuwać im frymarczenie żonami i pijaństwo, wady, o które ich nie posądzają ci, coby ich najchętniej widzieli w Palestynie...

Że poeci pod koniec XIX stulecia są bardzo oględni w rzeczach religii, to nas nie dziwi... Swobodniej przykłada satyryk zwierciadło swe do stosunków małżeńskich, których zgniliznę kropi niejednokrotnie biczem sarkazmu. Niezgoda stadeł wyłazi bokiem w każdej niemal satyrze. Biedny Adam traci zdrowie, znosząc cierpliwie ciągłe fochy Ewy. Pan Mikołaj kończy systematycznie kursy poezyi życia na tragedyi z żoną. Gdy starowina niemrawiec dźwiga na łysej głowie rogi a młodzieniaszek szepcze słodko do ucha jego czułej małżonki — to nas może rozśmieszyć; ale gdy Jana, krwawo pracującego na żonę i dzieci i schylającego kornie kark swój pod jarzmo pantoflowe, oszukuje niegodnie przyjaciel domu, karmiąc żonkę jego karmelkami miłości — to nas razem z poetą oburza. W trawestacyi, w której zwietrzały świat klasyczny z całą zbrojownią strzał mitologicznych tańczy bardzo obyczajnego zresztą kankana, każe p. Konarski złapanemu na gorącym uczynku Jowiszowi ogrzmocić dobrze zazdrosną połowicę a ze „strasznej“ tej powieści ma spływać „morał ten, że na niewiast spazmy, gwałt nie masz jak Zeusa leki.“ Coby na to powiedział choćby austryacko-galicyjski kodeks karny, bo nie wspominam nawet o zasadach etyki społecznej. Piękniejszy obrazek z życia rodzinnego daje satyra p. n. „Szczęśliwi.“ Oto zaledwie nocne padły mroki, a już ojczulek z biura pędzi do swego pijackiego „kółka,“ mateczka idzie do sąsiadki, aby przy kominku uprać z brudów pół miasta; synalek starszy w *tingel-tanglu* pryska kaskadą szampana w oczy kawiarnianej diwy; córuś nieletnia połyka w lot Boccacia i *Nanę* a mały Adaś przypatruje się z zajęciem, jak dwaj dragoni zdobywają szturmem serce panny służącej. Zdaje się to oburzać poetę głównie z tego względu, że mu czynniki te rozsadzają spleśniałą dla nas foremkę rodziny. Wypisano to na sztandarze kwestyi kobiecej, tak oto pojętej: W salonie „koła“ toczyła się raz rozprawa na temat „Czy słusznie by dzierżyła pióro białogłowa.“ (Pytanie samo świadczy o zasłanianiu sobie oczu). Na to odpowiada poeta „szermierkom gęsiego pióra.“ „Pióro dobre dla kobiet, lecz u kapelusza!“ Wogóle służy mu kobieta za przedmiot do mniej lub więcej dowcipnych porównań. Skromne np. dziewczę — to w jego oczach urocza piosnka, sentymentalna panna dźwięczy tonem smętnej balady, kokietka jest wymuskanym sonetem, zwiędła dewotka, z sercem upiora, bryzga satyrą, niedokrewny zaś ród guwernantek— to poemat dydaktyczny. Na wspomnienie tej ostatniej kategoryi kobiet dostaje dreszczów on sam, pedagog. Kobieta przechodzi za życia różne stopnie metamorfozy. Kiedy szesnasta wiosna wieńcem z róż pierś jej przystraja, burzy się w niej miłość, jak musujące wino; gdy już przekroczy dwudziestkę, kipią w łonie jej wulkany a całus jej podobny do ognistego szampana; gdy czwarty już krzyżyk na kark jej spadnie trzeba dąć z pełnych płuc, aby rozdmuchać iskrę w popiele; kobieta podobna wówczas do ponczu, który im więcej rozgrzany, tem lepiej smakuje. Czas, ów zazdrosny tyran, miażdżący stuletne dęby, skruszył i serce babci, lodowym tchem zmroził jej łono a całus jej smakuje jak woda selcerska. Takie zręczne zestawienia i tym podobne dowcipne igraszki słów stanowią jeden z głównych pierwiastków humoru poety.

Głębiej wnikają w stosunki społeczne satyry drugiej części, rozpoczynające się mniej więcej od wiersza „Wierni zasadzie.“ Wielcy oni byli niegdyś, kuflami wino leli sobie w gardła— dziś godziny w żałobie im płyną, gdy kieliszkami tylko spijają szampany. Jedno tylko wynieśli z rozbicia, że wierni dawnym hasłom... Gdy już inseratami nawet głoszą ludziska, chełpiąc się, jak w bujny plon rozrasta ziarno ich rzekomych poświęceń, wyrywa się ze zbolałej piersi satyryka życzenie: „O siebie wprzód niech każdy dba, nim drugim się poświęci.“ Gdy zdolnego i sumiennego urzędnika przeskakuje w awansie niezdara, to sedno tej „zagadki galicyjskiej“ tkwi w służalstwie. Obok niego zajmuje drugie miejsce blaga. Tym talizmanem w życiu zbrojny stąpasz śmiało po grudach życia, zwłaszcza gdy frymarcząc sercem i rozumem, przestrzegasz hasła „miej kieszeń i patrzaj w kieszeń.“ System wolnej konkurencyi otwiera pole dla popisów istnej menażeryi. Tu dwaj eskulapi drą z sobą koty, ten koleżkę szalbierzem zowie, ów zaś go chrzci mianem idyoty. Tam naiwnych ról artystki dziobią się na śmierć, owdzie zacietrzewieni literaci kompromitują się wzajemnie, skwarząc dowcipów ostatki — wszystko to posiew wolności— dodajmy ekonomicznej. Pan Jakób należy do kategoryi ludzi praktycznych, goły jak turecki święty, ożenił się z tysiączkami, nie bił głową o mur, lecz podłazil tam, gdzie przeskoczyć nie mógł. W wyborców tłumie stał jak spiż nieugięty, lecz gdy mandat poczuł w dłoni, w kąt zasady a na stół — synekura w bankach. Za młodu po błękitach bujał nieba, przysięgał życie nieść w ofierze krzywdzonej czerni, dziś jako właściciel warsztatów skórę zdziera z czeladzi. Niedawno gardłował za towarzystwem, w którem przyszłość kraju dopatrywał, czemuż dziś obrzuca je błotem? Bo nie został wybrany prezesem. Bądź mądry jak Salomon, miej głowę jak Sokrates, gdy nie masz „pleców“ za sobą, zginiesz marnie:

Dziś głowa fraszką — grunt to plecy.
Puść (więc) w trąbę wszystkie członki
I pleców pilnuj bracie.
A gdy ci w synku przyrost nowy
Chcą nieba dać przychylne,
Proś niech się rodzi i bez głowy.
Lecz „plecy“ niech ma silne.

Zapatrzony w gwiazdę ideału do walki rwał się w życiu z hasłem: przez miłość do wolności. Za grzech bratobójstwa poczytywał korzystanie dla siebie z majątku, zaprzągł się sam do pługa pracy w wierze, że prawda zwycięży, lecz świat go szyderstwa smagnął biczem i przeszedł nad „idealistą“ do porządku. Jeżeli się więc dopatrzysz, matko, u syna serce, co o własnym zapomina bólu a łzą współczucia nędzę ludzką złoci, jeśli duch jego orlim zrywa się lotem w górę nad fałszu odmęty i ucieleśnić pragnie życia ideały, to „smutek niech cię zdejmie szczery, bo syn twój w świecie *nie zrobi karyery.*“ W ostatnich słowach streszcza się gramatyka społeczna satyry. Wyszydza on wiele istotnych wad społeczeństwa naszego, bierze pod opiekuńcze skrzydła ironii wydziedziczonych i odepchniętych, ale nigdy nie może zapomnieć o „awansach,“ „karyerach“ itp. W „Odzie do grosza,“ który na pół ironicznie mieni kotwicą szczęścia, aniołem pokoju, geniuszem — wszystkiem, zanosi pod sam koniec prośbę dającą miarę tych jego nizkich lotów. „Ludzkości całej, o mocarzu wielki, wysłuchaj pienia muzy wielbicielki, i w dom mój, gdzie się pustki rozgościły, zejdź gościu miły.“ Z olimpijskim spokojem, rzadziej jak np. w wierszu „Żywot poczciwego człowieka“ z Heinowską igraszką obnaża on ohydę wieku, lecz często wygląda tak, jak gdyby go to wszystko nie kosztowało ani kropli żółci. Zaczerpnie czasem z romantycznej palety Asnyka (wiersz wstępny), zapatrzy się w oblicze Rodocia (Biernackiego) lub Chochlika (Zagórskiego), zwykle jednak pozostaje sobą, zbliżonym najwięcej do swych klasycznych mistrzów, których jako filolog poznał gruntownie. Talent to wybitnie ironiczny, zdobywający się rzadko na wyższy polot, łatający dziury fantazyi dowcipem, śmiechem pokrywający brak wykształcenia socyologicznego.

Dłuższe utwory w rodzaju kwilenia czy „sądu kwiatów“ cierpią na anemię, ale nawet w obrazkach satyrycznych, w których celuje, brak ognia i zapału. Prostota i naturalność w słowie — nie dostaje mu czasem niezbędnej w tym rodzaju dosadności — nie wynagradzają mdłego i spełzłego obrazowania. Jeżeli p. Konarski zagłębi tendencyę swej poezyi i skąpie ją w nurtach sztuki, zasłynie nietylko jako poeta, ale odda społeczeństwu doniosłe usługi.

H. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Surowość dla nieprzyjaciół a pobłażliwość dla siebie.— Historya „człowieka nieszczęśliwego.“ — Baron Graeve wobec niebezpieczeństw Poznańskiego ratujący Galicyę. — Dziwna logika obowiązków obywatelskich i domki z kart. — „Sprawozdanie“ Kasy mianowskiego. — Nasz czteroletni plon naukowy. — Straszny nieurodzaj. — Brak zamiłowania do pracy. — Towarzystwo jedwabnicze. — Stańczycy wobec Mickiewicza.— Daremne obawy.

W czasach, kiedy zwykli, nie jacyś tam romantycznem światłem obrzuceni, ale ordynarni krętacze i złodzieje mianują się stróżami dobrych obyczajów, kiedy bezczel-

ność jest niecnotą wyrozumiale tolerowaną, kiedy granice pojęć o uczciwości, obowiązku, służbie obywatelskiej i zasadach moralnych zatarły się sofistyką sumień wykrętnych, nawet ludzie prawi tracą zdolność ścisłego wyróżniania pierwiastków etycznych w życiu. Coraz bardziej rozszerza się nadmierna pobłażliwość, chęć usprawiedliwienia wszystkiego, powszechne adwokactwo i wstręt do stanowczych oskarżeń nawet tam, gdzie istotnie zagrożone są interesy ogółu. Objaw ten ze szczególną siłą wystąpił wobec handlu ziemią w Poznańskiem. Kiedy rząd pruski stworzył komisyę kolonizacyjną i dał jej miliony na wykupywanie ziemi, uznaliśmy ten środek za niemoralny, chociaż właściciel, przeciw którym był wymierzony, nie postawiono w warunkach przymusu, lecz wolnej woli, komisya bowiem nie wystąpiła jako wykonawczyni gwałtu, ale jako bogata kupcowa, która nawet zagona polskiego nie zdołałaby nabyć, jeśli by go jej dobrowolnie nie sprzedano. Tymczasem gdy panowie poznańscy znęceni jej kiesą ofiarowywali swoje majątki tak tłumnie, że ledwie przed ich natarczywością obronić się mogła, natychmiast, obok tu i owdzie głoszonych potępień, zaczęliśmy ich uniewinniać— to potrzebą ratowania się, to konieczności względem wierzycieli, to wreszcie spekulacyą szczególną, która im kazała za zyski w tym handlu osiągnięte nabywać korzystnie inne folwarki. Może po części dzięki tej obronie judaszowstwo względem ziemi rozpostarło się śród większej własności bardzo szeroko i wciągnęło w swój krąg jednostki moralnie wybitne i zaszczytami obywatelskimi obdarzone, po których takiego przeniewierstwa się nie spodziewano. Liczbę tych jednostek pomnożył baron Graeve, poseł poznański do dwu sejmów, sprzedawszy ogromne swoje dobra komisyi kolonizacyjnej. Że i na tego pana padł trąd, który tylu zaraził—trzeba i można z tem się pogodzić; ale z czem nie trzeba i nie można się pogodzić, to z podjętą w *Kuryerze Warsz.* przez p. Rogosza obroną. Zaiste ciekawe są jej argumenty i historya „człowieka nieszczęśliwego.“ Br. Graeve, bogaty obywatel i posiadacz obszernych włości w Poznańskiem, poseł tej prowincyi w dwu sejmach, pewnego dnia przychodzi do przekonania, że powinien ratować... Galicyę, że w niej „da się jeszcze wiele zrobić, jeśli tylko uwaga skierowana będzie na... kopalniane bogactwe ziemi.“ Więc zakłada olbrzymie wapienniki pod Lwowem, nabywa obok nich ziemię, zaczyna kopać naftę około Krosna, kupuje obszerne pokłady węgla kamiennego w Galicyi wschodniej i na... Węgrzech, buduje fabrykę mączki kościanej itd. itd. Z tylu srok, trzymanych za ogony, nie dopisała żadna. Zabrakło kapitału. Co było robić?—pyta p. Rogosz. W takim razie liczni wierzyciele zabraliby kopalnie darmo. Br. Graeve wybrał ofiarę, która go najmniej kosztowała skrupułów: sprzedał niemcom swoje dobra. Czy przez to uratował Galicyę i jej przemysł? P. Rogosz nie daje żadnego pod tym względem zapewnienia. Oto mamy wielce charakterystyczny obrazek rozumnej i poważnej pracy obywatelskiej. Mieszkaniec Poznańskiego, dzielnicy najbardziej zagrożonej wynarodowieniem i wywłaszczeniem, opuszcza najbliższe pole działania, przenosi punkt ciężkości swoich spekulacyjnych zabiegów i ekonomicznych mrzonek gdzieindziej—do Galicyi; tam buduje zamki na lodzie, które się walą i które on podpiera sprzedażą kawała ziemi jej wrogowi; będąc posłem, zamiast wyzyskiwać to stanowisko dla dobra prowincyi, wytęża energię i środki w innej, gdzie myśli o wykopaniu skarbów, „bo na szerokiej arenie tylko głos człowieka bogatego coś waży.“ Rzucając się w hazardowne spekulacye, z rachubą czysto osobistą, wmawia w siebie i w innych że go na ratunek wzywa społeczeństwo. Ostatecznie z wielkim zasobem uzdolnień, może nawet dobrych chęci, pomysłowości i pieniędzy upada pod ciężarem długów i sławy, łapie wiatr w polu, a opuszcza swoją chatę; kupuje ziemię na Węgrzech a sprzedaje w Poznańskiem, marzy o fantazyjnej roli polityka bogatego a zaniedbuje i traci rzeczywistą. Tacy ludzie nie mogą być ani siłami twórczemi, ani nawet dobrym materyałem.

Kasa Mianowskiego ogłosiła swoje ósme „Sprawozdanie“ za rok 1889. Tym razem kreśli ono wyjątkowo obraz nieco ogólniejszy. Mianowicie w roku ubiegłym przypadł termin przyznania dwu poważnych nagród (po 3,000 rs.) za najlepsze dzieła naukowe z zapisu Jakóba Natansona. Jak wiadomo, przysądzono je pp. W. Gosiewskiemu i A. Pawińskiemu. Usprawiedliwiając ten wybór, zarząd Kasy czyni pobieżny przegląd prac w dwu dziedzinach: umiejętności ścisłych i humanitarnych za okres czteroletni (od 1884 do 1888). Co za przerażające ubóstwo! Zebrano i przejrzano wszystkie książki i broszurki, często tylko ze słabymi pozorami naukowości, a mimo to ze starannego pokłosia związano dwie garsteczki, niewyrównywające umysłowej produkcyi Niemiec z jednego tygodnia. Wprawdzie uwzględniano tylko obręb Królestwa, ale nawet w tym ograniczonym zakresie przedstawił się nam bilans naukowej nędzy. Jest to widok niezmiernie bolesny, tem boleśniejszy, że szczodra pomoc Kasy „dla osób pracujących na polu naukowem“ nie wywiera pożądanego wpływu. Pewien maleńki procent ludzi, korzystających z jej zasiłków i pożyczek, rzeczywiście nie marnuje publicznego grosza, ale znaczna ich część pozostaje od lat całych „przy nadziei“ zrobienia czegoś. A jednakże rozchód na te cele w roku minionym wynosił 10,675 rs! Wielokrotnie krytykowaliśmy zbyt łaskawą gospodarkę zarządu; ale doprawdy wobec chronicznej, niezmiernie słabej płodności obdarowanych należy go usprawiedliwić trudnością położenia. Bo gdy na zarzuty odpowie: dajemy tym, którzy się zgłaszają z jakąś rękojmią umysłową; wskażcie lepszych i bardziej zasługujących, pomożemy im — to rzeczywiście trudno taką odpowiedź czemś odeprzeć. Istotnie faktem jest, że żaden niezamożny badacz u nas, o ile zgłaszał się do Kasy, nie odszedł z próżnemi rękami. Więc jeżeli wydawane przez nią sumy nie zbogacają naszej niwy naukowej odpowiednim plonem, niwa ta musi być bardzo wyjałowioną. Niestety, tak jest. Złożyło się na to i składa bardzo wiele przyczyn niezłomnych a rozgrzeszających nas w pewnej mierze; ale jest między niemi także brak zamiłowania do badań i pracy. My poprostu — a dla wyleczenia się powtarzajmy to sobie jak najczęściej — jesteśmy w każdej sferze życia społeczeństwem próżnującem. Niemcy posiadają ogromne środki, instytucye, sprzyjające warunki — niewątpliwie; ale przytem objawiają pracowitość, o jakiej my nie mamy wyobrażenia. To naród mrówek i pszczół, my zaś jesteśmy gromadą motyli. To też nie może między nami wytworzyć się stała ciągłość i tradycya pracy badawczej, pobudzająca do niej atmosfera naukowa; tu i owdzie tylko, od czasu do czasu, wystrzeli jakaś zdolność, jakaś pracowitość niezwykła, która pokona zniechęcające wpływy otoczenia, zakwitnie i owoc wyda. Gdzieindziej literatura umiejętności przedstawia się pod postacią nieprzerwanych łańcuchów usiłowań; u nas tworzy obraz niezłączonych z sobą i rozrzuconych ogniw. My nie zaczynamy tam, gdzie skończyli nasi poprzednicy, ale tam, gdzie zaczęli cudzoziemcy. Nie jedna fala ruchu umysłowego pcha drugą, ale każda jest oderwaną od innych i zwykle z obcego morza stoczoną. Wyjątek pod tym względem stanowią chyba tylko badania nad historyą krajową.

Po przeczytaniu „Sprawozdania,“ kto zdoła ująć w jakąś regułę i wytłomaczyć zachowanie się ukształconego ogółu wobec książek z pomocą Kasy wydawanych? Można to zrozumieć, że w r. 1888 sprzedano Corneliusa Neposa za rs. 1 k. 68; a dlaczego np. *Meteorologia* (Mohna) przyniosła 343 rs. 48 k., *Kosmografia* (Jędrzejewicza) — 253 rs. 84 kop., *Iliada* — 12 rs., a *Bijologia* (Huxleya) rs. 1 k. 60 — tego nikt nie objaśni. Czyż u nas jest rzeczywiście najmniej ludzi zajmujących się bijologią, a najwięcej — meteorologią?

Szczerze i gorąco życzyć należy jak najszerszego powodzenia „Warszawskiemu Towarzystwu jedwabniczemu,“ które świeżo ogłosiło swoją zatwierdzoną ustawę. Zadaniem jego będzie: 1) ułatwienie mieszkańcom gubernij Królestwa Polskiego nabywania nasion i drzew morwy; 2) dostarczanie zdrowych jajeczek do wylęgu jedwabników po możliwie niskich cenach lub bezpłatnie; 3) kupowanie kokonów lub pośredniczenie w sprzedaży; 4) udzielanie wskazówek co do hodowli; 5) rozpowszechnianie odnośnych wiadomości drogą prasy i wykładów popularnych; 6) popieranie osób specyalnie jedwabnictwo studyujących itd. Bardzo już dawno brzmią na naszej puszczy głosy wołających o uprawę tej gałęzi przemysłu, obiecującej krajowi wielkie korzyści. Dotychczasowe próby, podejmowane ze szczupłymi środkami i w ograniczonej mierze, zniechęciły ogół, ale bynajmniej nie obaliły wiary ludzi z przedmiotem obeznanych w możliwość powodzenia. I tu trzeba powtórzyć starą prawdę ekonomiczną, że ażeby jakiś produkt zdobył dla siebie rynek handlowy, musi na nim wystąpić nietylko w pożądanej jakości, ale i w pewnej sumie. Kilka setek funtów kokonów, wyhodowanych u nas przez drobne i dorywczo prowadzone przedsiewięcia, nie mogło uczynić kraju naszego poważnym warsztatem i ogniskiem jedwabnictwa. Fabryki nie brały nas w rachubę—skutkiem tego nie ułożyły się prawidłowe stosunki między wytworem a zbytem. Może powołane do życia Towarzystwo niewiadomość pouczy, zaradności drogę wskaże, dobre chęci wzmocni i schnącą gałązkę do rozwoju pobudzi. Zwłaszcza ziemianie, którzy pragnęliby gospodarstwo rolne dopełnić innym jeszcze przemysłem, powinniby skorzystać z nowej instytucyi, a tem skwapliwiej, że ona ich nie wpędzi w żadne ryzyka i kosztowne nakłady.

Nie 30 tedy czerwca, ale 4 lipca odbędzie się w Krakowie uroczystość złożenia na Wawelu zwłok A. Mickiewicza. Kilka pism warszawskich podjęło kwestyę, czy gospodarze Galicyi, a specyalnie Krakowa, stańczycy, którzy, bądź co bądź, głównie kierować będą obchodem, wyzyskają go dla objawów lojalności austryackiej? Nie sądzę. Pomijając to, że Mickiewicz do swych pism nie używał piór ze skrzydeł orła austryackiego, należy pamiętać, że jest on po Koperniku największym geniuszem polskim i jednym z największych geniuszów świata. Tacy ludzie nie mieszczą się w ramki jakichś prowincyonalnych polityk i lojalizmów. Kiedy po Austryi pozostaną już tylko wspomnienia w historyi, olbrzym naszej poezyi stać będzie jeszcze przed oczami potomnych. O żadnych więc zaściankowych manifestacyach przy jego trumnie mowy być nie może. Wszelkie w tym kierunku pokusy zgniecie jego wielkość i ogrom tej czci, jaka go otacza. Kraszowski nie był Mickiewiczem, a jednakże podczas jego jubileuszu w Krakowie stańczykowskie zabiegi ujawniły się tylko w zaledwie dostrzegalnych dąsach. Czemże one być mogą wobec takiego mocarza, jak twórca *Pana Tadeusza*! Zresztą pomimo całego przeciwieństwa względem stańczyków, przyznać należy, iż są to ludzie praktycznie mądrzy, którzy bardzo dobrze wiedzą, gdzie mogą swą chorągiewkę śmiało rozwinąć, a gdzie ją muszą trwożliwie schować. Ich więc dzwony nie będą biły, a przynajmniej nie zagłuszą innych, gdy Mickiewicz wstąpi w podziemia Wawelu.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Dalsze cieniowania reformy wykształcenia klasycznego. — Ministeryum rolnictwa. — Karta urodzajów i święto renty.— Ofiary bezwładności własnej i chaosu otoczenia. — Dobrodziej piwowarów ruskich. — Handel z Chinami. — Kolej syberyjska.

Wielkiej doniosłości sprawa reformy gimnazyów klasycznych jeszcze nie zeszła z porządku dziennego. Sama reforma znajduje się jeszcze w fazie poprawek. Wiadomo, że według projektu ministra oświaty, polegała ona na zmniejszeniu ogólnej liczby lekcyi języków starożytnych (łacińskiego od 49 do 42, greckiego 36—33) oraz na usunięciu z kursu przekładów z języka ruskiego na starożytne, czyli t. z. *extemporaliów*, na skróceniu gramatyki itp. Otóż, jak *Swiet* donosi, na ogólnem zgromadzeniu w Radzie państwa, bardzo ożywionem, *większość* członków oświadczyła się za zmianami w rzeczonym projekcie, które dadzą się streścić w następujący sposób: 1) Do języka greckiego mają być dodane trzy lekcye ujęte łacińskiemu, który będzie zmniejszony wogóle do 36 lekcyj, czyli o 6 wbrew zaleconej normie przez ministra a o 13 w stosunku do obecnej. Motywem tej poprawki jest ten wzgląd, że wykład języka greckiego zaczyna się później, niż łacińskiego (pierwszy od III, drugi od I klasy) pomimo jednakiej trudności obu. Stąd też nie ma żadnej słusznej podstawy, żeby łacina miała pierwszeństwo przed greczyzną, 2) Ze względu na to, iż znajomość otaczającej nas natury jest niezbędną cechą wykształcenia średniego, liczba lekcyj nauk przyrodniczych ma być podniesioną od 2 do 6. 3) Liczba zaś lekcyj matematyki skróconą zostanie a fizyki rozszerzoną—o dwie. Taka jest najnowsza postać kiełkującej reformy klasycyzmu, ale ponieważ jeszcze nie uzyskała zatwierdzenia, posłyszymy może o nowych dodatkach lub uszczupleniach.

Coraz częściej i uparciej powraca na szpalty pism ruskich wiadomość o utworzeniu nowego ministeryum rolnictwa i przemysłu wiejskiego. *Swiet* nawet utrzymuje, że ta sprawa miała być roztrząsaną w wyższych instytucyach państwowych. Istotnie powołanie do życia tego wyodrębnionego ośrodka zarządu miałoby wielką doniosłość dla rozwoju rolnictwa w państwie tak rozległem, jak Rosya. Takie ministeryum służyłoby za prawidłowy i systematycznie działający organ troskliwości rządu o najobszerniejszą gałąź produkcyj krajowej. Zbytecznem byłoby pod tym względem szukać dobitniejszych argumentów. Skoro istnieć może naczelna instytucya kierująca gospodarką transportową, jak ministeryum komunikacyi, tem bardziej usprawiedliwić się da naczelna władza, zarządzająca sprawami rolnictwa i przemysłu wiejskiego. Dotychczas ta dziedzina miała swe zawiadowstwo w departamencie rolnictwa przy ministeryum dóbr państwa. *Swiet* tuszy sobie, że wzmiankowana instytucya dla rolnictwa będzie wykwitem dalszego rozwoju departamentu, który w ostatnich czasach znacznie już rozszerzył zakres swojej działalności (pozaprowadzał np. własnych agentów pośredniczących między prowincyą a zarządem centralnym).

Nim jednak narodzi się doskonalszy organ ześrodkowujący i poprowadzi z większą energią sprawy rolnictwa, przejrzyjmy kartę urodzajów, dołączoną do ostatniego numeru *Wiestnika Finansów*. Przedstawia ona stan oziminy, skonstatowany 19-go maja nowego stylu. Danych dostarczyli inspektorowie podatkowi. Cały północo-wschód Rosyi europejskiej, szczególnie gubernie wiacka, permska, kostromska i wołogodzka figurują na karcie, jako dotknięte „niedostatecznym“ stanem ozimin czyli zupełnym nieurodzajem. Graniczące z tym pokrzywdzonym przez naturę pasem: ołoniecka, a w części niżegrodzka, symbirska, kazańska, ufimska, orenburska i samarska (w północnej części) mają urodzaj „mniej niż średni“. Toż samo część jekaterynosławskiej (powiaty nowomoskiewski, pawłogradzki, aleksandrowski i jekaterynosławski) oraz w części nowogrodzkiej (Torżek i Stara Rusa). Następnie całe Królestwo Polskie i ościenne mu części kraju północno-zachodniego, kraj nadbałtycki aż do południowej granicy guberni estlandzkiej łącznie z pskowską—mają „średni“. To samo dotyczy guberni besarabskiej, w części podolskiej, chersońskiej, czernihowskiej, kurskiej i orłowskiej w promieniu skrzyżowania się linij dróg żelaznych: Kursko-kijowskiej i Libawsko-kremieńczuckiej. Cała pozostająca część Rosyi europejskiej, zatem prawie całe południe, południo-wschód i niemal cały środkowy pas Cesarstwa ze znaczną częścią północnego—są oznaczone na karcie urodzajów notą „dobre“ a nawet—„bardzo dobre.“ Tam też w tym roku, jeśli żniwa i plon wypadną równie świetnie, obchodzone będzie święto „wyższej renty“,

W tej uroczystości nie wezmą udziału: 1000 kosiarzy, którzy wrócili z za Donu i Kubania, gdzie ich nie potrzebowano z powodu nieurodzaju zbóż i traw. Zgromadzili się oni przed domem atamana kozackiego w Nowoczerkasku i błagali o odesłanie bezpłatne do Woroneża. Cały swój statek zarobkowy (narzędzia pracy), a nawet odzienie posprzedawali w drodze dla wyżywienia się. Oprócz tysiąca przed domem atamana, drugie tyle na dworcu kolei oczekiwało rezultatów swojej delegacyi. Między nimi znajdowały się kobiety i wyrostki—wszyscy znużeni długimi a daremnymi pochodami. To samo skupienie rąk szukających omackiem zajęcia miało miejsce w Rostowie nad Donem. W Nowoczerkasku p. Polakow podjął się swoim kosztem odesłania 900 tych nowoczesnych pielgrzymów do domu. Nie lepszy los spotkał tułających się za zarobkiem, jak zbłąkane owce, w Chersonie podczas jarmarku, na którym zwykle ich najmowano. W tym roku przeszło 3000 musi odejść zniczem—za dużo ich się zjawiło. Korespondent *Ruskich Wiedomosti* utrzymuje, że, oprócz nieurodzajów, tak leniwy popyt na siłę roboczą da się wytłomaczyć faktem, iż z każdym rokiem coraz więcej rozpowszechnia się na południu maszyna przy uprawie i sprzęcie pól. Ponury obraz przedstawiają te wyrzutki kultury w opisie korespondenta: „Na olbrzymim placu jarmarcznym (w Chersonie), pod otwartem niebem, otuleni obłokami kurzu, tarzają się w nim ludzie, otoczeni ze wszech stron odpadkami. Spędzają oni tu dzień i noc całymi tygodniami w oczekiwaniu obywatela ziemskiego, lub jego rządcy, któryby ich najął i nakarmił. Czem się oni żywią tymczasem—lepiej nie mówmy... Ani miasto, ani administracya nic nie przedsiębiorą celem złagodzenia ich losu. Zarząd miejski, ciągnący z jarmarku znaczne opłaty, nie urządził wcale nawet studni („wodopój“) dla ludzi, którzy zmuszeni są pić z jednego koryta razem z końmi, zarażonymi nosacizną. A i tę wodę dostają przebojem, ponieważ darmo jej nie dają. Za każde wiadro, kwartę lub butelkę żądają od nich po kopiejce. Niemający jej iść muszą do rzeki o półtorej wiorsty i czerpać sobie wodę, uznaną przez miasto za szkodliwą. Nie dziw, że lekarze ziemscy, którzy pootwierali ambulatorya i daremne rozdawnictwo lekarstw, mają często do czynienia z zimnicą, dyaryą itp. chorobami śród tych biedaków.“

Pewien dobroczyńca amerykański, nazwiskiem Tenner, wprawił w nielada kłopot piwowarów petersburskich. Zapisał on im 300,000 dolarów, jeśli zdołają doprowadzić jakość piwa swego i cenę do poziomu amerykańskiego. Bagatela! *Dień* utrzymuje, iż gdyby piwowarzy dostali w swoje ręce tę sumę, to musieliby cenę butelki piwa zniżyć od 10 do 5½ kopiejek. Zyskaliby na tem spożywcy. Otóż wobec takiej ofiary samolubstwo wprawia spadkobierców w stan niepewności—podjąć czy nie spadek?

Wiestnik Finansów pomieścił ciekawe cyfry o handlu Rosyi z Chinami za r. 1889. Ogólny wniosek jest bardzo smutny, konstatuje bowiem coroczne postępowe zmniejszanie się obrotów handlu ruskiego z „państwem niebieskiem.“ Kiedy w r. 1886 obrót w rublach wynosił 20,374,766, w r. 1889 spadł do 15,031,822! Zatem prawie o połowę. Nie dość tego. Zestawiając wywóz ruski z przywozem chińskim, spostrzegamy wzrost tego ostatniego. Tak np. w r. 1886 wywóz do Chin wynosił 1,553,984 rs., przywóz zaś z Chin — 18,821,782, tymczasem w r. 1889 pierwszy wyrażał się 1,085,144, drugi — 13,946,678, wogóle znów w ciągu czterolecia pierwszy sięgał 7,367,390 rs., drugi — 77,399,067! Chiński więc przywóz przenosi ruski wywóz 10½ razy, i w ciągu czterolecia Rosya musiała dopłacić chińczykom 70,031,677 rs. Pamiętać trzeba, że dane powyższe zaczerpnięte są tylko z ruchu przez Kiachtę, dowóz zaś chiński do Rosyi nie ogranicza się do drogi lądowej. Gdzie przyczyna? Wszak czterechsetmilionowa ludność Chin zdawałaby się być niewątpliwym rynkiem przemysłu ruskiego? Głównym towarem handlu ruskiego z Chinami były dawniej sukna. Z biegiem czasu ten stosunkowo drogi towar zastępować zaczęto tańszemi tkaninami bawełnianemi, których wywóz dosięgał w 1888 r. 822,202 rs. przy ogólnej wartości towarów ruskich zbytych do Chin na sumę 2,374,760 rs. Wywóz więc tkanin bawełnianych stanowił w 1888 r. 34·6% ogólnego wywozu. Lecz w następnym już roku zbyt tego towaru mocno spadł, bo do 217,947 rs., pomimo iż w r. 1889 ceny jego stosunkowo były niższe. Nawet przy ogólnem zmniejszeniu się wywozu spadł do 20%. Najbliższą przyczyną tego zjawiska, pomimo zmiany kursu pieniędzy, jest niewątpliwie zwyżka cła od bawełny, wywołana potrzebą opieki młodocianych plantacyj tego włókna w Azyi środkowej. Ruscy fabrykanci z tego powodu nie mogą współzawodniczyć taniością wytworów swoich z zagranicznymi i muszą być wyparci. Jest jednak nadzieja, że wobec rozwoju bawełnictwa w posiadłościach środkowo-azyatyckich rynek chiński zbyt wielkiej nabierze doniosłości, żeby państwo nie wysiliło się na przywrócenie go swoim obywatelom. Najprzód dość znany środek doraźny, jak zwrot cła od bawełny uwięzionej w towarze zbywanym do Chin, następnie zaś może już w niedalekiej przyszłości kolej syberyjska, stojąca na porządku dziennym od lat 15 — zostaną wezwane ku pomocy „rodzimego“ przemysłu.

Dień, zaniepokojony opieszałością, z jaką posuwa się sprawa budowy kolei syberyjskiej, wlewa w serca otuchę przykładem dziejów powstania drogi żelaznej kanadyjskiej (od Montreala do wyspy Vankuwera) — od oceanu Atlantyckiego do Spokojnego. Tak samo linia ta, długością 3,800 kilometrów, przebiega odludne (a miejscami odludniejsze jeszcze) terytorya, jak przyszła syberyjska, a jednak czas jej budowy wynosił tylko około pięciu lat. Na 500 milionów franków Towarzystwa kanadyjsko-spokojno-oceanicznego rząd dał subsydyum 125 milionów. Jakkolwiek przykład Anglii niefortunnie jest wybrany, gdyż państwo to w rzędzie potęg militarnych zajmuje szary koniec, tem niemniej jednak jest nadzieja, że jeśli nie względy (dość silne) ekonomiczne, to bardziej strategiczne przyśpieszą sprawę połączenia szynami oceanu Spokojnego (Władywostok) z morzami: Czarnem i Bałtyckiem — jak marzy *Swiet*.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Teatr przedstawił komedyę K. Zalewskiego „Oj ci mężczyźni."

Szkoły. Na kursy pedagogiczne języków: francuskiego i niemieckiego, utworzone przy pierwszem gimnazyum żeńskiem w Warszawie, w celu przysposobienia nauczycielek tych języków, oprócz wychowanic gimnazyów lub instytutów naukowych przyjmowane będą także kandydatki z wychowania prywatnego. Dla tych ostatnich warunkiem będzie złożenie w tem gimnazyum egzaminu z całkowitego kursu gimnazyalnego lub przedstawienia świadectwa ze złożonego egzaminu w innym zakładzie naukowym.

— Synod przeznaczył 25,000 rs. na potrzeby dodatkowe duchowieństwa prawosławnego i szkół parafialnych w guberniach: wileńskiej, witebskiej, wołyńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, kijowskiej, podolskiej.

— Uroczyste zamykanie roku szkolnego w szkołach technicznych kolejowych, odbywające się dotąd w czerwcu, z rozporządzenia ministeryum komunikacyj od r. b. odbywać się będzie we wrześniu.

— We wszystkich zakładach naukowych egzaminy ukończono.

— *Graždanin* donosi o zamiarze zupełnego przekształcenia szkół początkowych w Kraju zachodnim.

— W Sobieszynie zamierzono otworzyć szkołę praktykantów rolniczych.

— W „Collège de France" utworzono katedrę napisów semickich.

Wiadomości społeczne. Według zapewnień pełnomocnika ks. Hohenlohe, rozległe dobra powittgensteinowskie mają być stanowczo sprzedane. Znaczna część ma być rozparcelowaną. W tym celu Bank włościański rozpoczął już pośrednictwo. Tranzakcya będzie na sumę 300,000 rs.

— W tych dniach ogłoszone będą przepisy o czytelniach bezpłatnych dla ludu, opracowane przez ministerya oświaty i spraw wewnętrznych.

— Ma być utworzona specyalna komisya, która się zajmie sprawą włościan bezrolnych.

— Sąd wojenny polowy z Warszawy skazał w Siedlcach trzech żołnierzy pułku dragońskiego na śmierć przez rozstrzelanie, za zabicie wachmistrza szwadronu tegoż pułku.

— W Tarnopolu zawiązało się stowarzyszenie ruslńskie p. n. „Rada podolska," mające na celu obronę praw narodowości rusińskiej, popieranie języka i wyborów do rad powiatowych.

— Pierwszy zjazd nauczycielek niemieckich uchwalił rezolucyę, żądającą liczniejszego dopuszczenia kobiet do udziału w wychowaniu publicznem.

— Fundacya im. Schillera (w Weimerze), mająca na celu płacenie pensyj stałych niezamożnym poetom niemieckim, wydała w r. 32,000 marek dla 15 osób.

Sprawy kolejowe Kolej Libawsko-Romeńska została wykupioną przez skarb na zasadzie umowy specyalnej.

— Ma być przeprowadzony drugi tor kolejowy pomiędzy Batumem i Baku.

— Ministeryum komunikacyi wykryło, że ekspedyujący towary za pośrednictwem agentów kolejowych wykazują mniejszą ilość towaru ze szkodą dla skarbu.

— Chodzą pogłoski, iż projekt kolei szerokotorowej z Łodzi na Zgierz, Ozorków, Łęczycę, Kutno do Płocka, a następnie do Mławy, będzie wkrótce urzeczywistniony.

— Kolej Doniecka przechodzi pod zarząd skarbu.

— W celu opracowania taryf komunikacyi bezpośredniej między kolejami w Królestwie z drogami ślązkiemi i niemieckiemi odbędzie się w początkach lipca narada w Berlinie lub Wrocławiu.

Wiadomości administracyjne. Na t. zw. wolnych pocztach zniesiono podatek na rzecz skarbu od każdego konia, wysyłanego z podróżnymi.

— Obrońcom prywatnym będzie surowo wzbronione noszenie wszelkich znaczków i rozetek na klapach fraków przy stawaniu w sądzie, ponieważ może to mnięj oświeconych klientów wprowadzać w błąd przez pomieszanie adwokatów przysięgłych z powyższymi obrońcami.

Wystawy. Ministeryum skarbu, dla bliższego zaznajomienia zagranicy z produkcyą przemysłową Rosyi, zamierza urządzie stałe wystawy muzealne w głównlejszych miastach Europy i Azyi; na początek będą otwarte: w Berlinie, Paryżu, Londynie, Hamburgu, Neapolu, Sztokholmie, Konstantynopolu. Teheranie i Tokio przy konsulatach generalnych. Na urządzenie muzeów przeznaczono po 50,000 rs.

— W lipcu i sierpniu odbędą się wystawy koni w gub. kowieńskiej i podolskiej.

— Istnieje projekt urządzenia we wszystkich większych miastach stałych wystaw prac aresztantów. Zarząd każdej wystawy upoważniony będzie do przyjmowania zamówień prywatnych.

— W Kazaniu otwarto wystawę przemysłowo-rolniczą.

— W Landsbergu odbędzie się w sierpniu wystawa pszczelnicza.

— W Brunszwiku otwarto wystawę pamiątek z wojen Napoleońskich r. 1806—1815.

— We Wrocławiu otwarto międzynarodową wystawę maszyn.

— W Budapeszcie odbędzie się wystawa garbarska w sierpniu i wrześniu r. b.

Zdrowie publiczne. W szpitalu św. Ducha w Warszawie wybudowana będzie nowa sala operacyjna z pokojem dla chloroformowania.

— Utworzono komisyę z lekarzy i weterynarzy wojskowych, w celu obmyślenia środków przeciw szerzeniu się nosacizny u ludzi.

Sprawy literackie. Nowy tygodnik lwowski, *Trybuna*, skonfiskowany został za artykuł p. t. „Prądy staro-ścińskie." Jest to trzecia konfiskata w ciągu sześciu tygodni. (*Kur. warsz.*).

— Wzbroniono sprzedaży pojedynczych numerów *Graždanina*.

— Redakcya *Świata* przygotowywa na uroczystość pogrzebową numer wyłącznie poświęcony Mickiewiczowi.

— We Lwowie wkrótce zacznie wychodzić miesięcznik p. t. *Czasopismo psychiatryczne*.

Zmarli. Wilhelm Wiener, wydawca i redaktor naczelny dziennika *Presse* w Wiedniu.

— Filip Burty w Paryżu; krytyk i estetyk francuski.

— Franciszek Hodell, w Sztokholmie; dramaturg szwedzki.

— Dr. Filip Schweitzer, w Vevey; profesor i krytyk literatury w Weimarze.

— Otton Mengelberg w Düsseldorfie; malarz historyczny niemiecki.

— Vasile Alexandre, w Paryżu; poeta i poseł rumuński.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czytelnikom. Naturalista z płazem nie rozprawia, ale najmizerniejszego pomijać nie może. Podobnie publicysta z padalcem dziennikarskim nie polemizuje, ale o nim nieraz wspomnieć musi, chociażby dla spełnienia powinności, którą Voltaire zawarł w haśle: *ecrasez l'infame*. Ten wzgląd znaglił nas kilkakrotnie do analizowania w *Prawdzie* publicznych czynów p. Piltza, znanego właściciela hotelu literackiego i jeszcze bardziej znanego krętacza, który zajawszy najniższy szczebel w umysłowem i moralnem ustopniowaniu prasy polskiej, nie przestawał broić w swoim *Kraju* i narzucać się społeczeństwu na przewodnika. Niedawno zaznaczyliśmy ogłoszony przeciw niemu w *Wieku* akt oskarżenia cenionego powieściopisarza, A. Szymańskiego. Pomimo przyzwoitego tonu naszych uwag, p. Piltz odpowiedział na nie szeregiem kłamliwych i potwarczych obwinień oraz tak nikczemnych obelg, jakie tylko najbrudniejszymi rynsztokami prasy płynąć zwykły, a wnaszej nigdy nie płynęły. Jest to wstrętną a jednak nieuniknioną koniecznością dla ludzi działających publicznie, że muszą oni odpierać najnieniejsze oszczerstwa faktyczne. Tej więc zawartości paszkwilu przeciwstawimy prawdę. Przed siedmiu laty zrobiliśmy p. Piltzowi zarzut natury karnej. P. Piltz, wiedząc bardzo dobrze, iż nikt wobec takiego zarzutu do walki pojedynkowej nie staje, przysłał redaktorowi *Prawdy* wyzwanie, który ten naturalnie nie przyjął. Otrąbiony po tej odmowie w *Kraju* tryumf okazał się niedostatecznym i nie usunął potrzeby rozjaśnienia sprawy przed sądem honorowym. Sąd ten, nie podzieliwszy naszego zarzutu w tej formie, w jakiej go postawiliśmy, uznał tylko pewne „niewłaściwości, odnoszące się do dawniejszych lat życia" p. Piltza. Ponieważ, ulegiszy długim namowom, redaktor *Prawdy* przyrzekł nie ogłaszać materyału dowodowego i nie wszczynać zakończonego sporu, więc stłumiwszy osobiste przekonanie, wydrukowaliśmy wyrok *bez jednego słowa* objaśnień i uwag (w n. 23 z r. 1884). Tymczasem p. Piltz, wbrew honorowemu zobowiązaniu, poprzedził go wstępem krytycznym, co zaznaczyliśmy (w n. 26), oświadczywszy jednak, że nas to „do wzajemnych komentarzów nie pobudza." Jakkolwiek p. Piltz swem wiarołomstwem już wówczas uwolnił nas od obowiązku milczenia w tej sprawie, przez lat sześć nie dotknęliśmy jej ani razu, pomimo ciągłych zaczepek i napaści *Kraju*. Dotrzymywaliśmy naszego słowa tak sumiennie, że niedawno, gdy w kilku pismach warszawskich p. Piltza postawiono pod pręgierzem i piętnowano „niewłaściwościami dawdniejszych lat jego życia," jeden z tygodników wytłomaczył, iż *Prawda* nie bierze udziału w tej egzekucyi, bo jest związana honorowem przyrzeczeniem. Kto inny, posiadający jakąś niezgaszoną iskrę uczciwości czulby wdzięczność dla nas za takie postępowanie, pozwalające mu wycerować podartą reputacyę. P. Piltz zachował się jak prawdziwy infamis. Chociaż z naszego milczenia korzystał, nietylko wysyłał do napaści na nas p. Spasowicza (w sprawie Zapolskiej) i bezimienną czerń swoich reporterów warszawskich, ale nadto, wyzyskując, jak wszyscy jego miary moralnej nędznicy, krótką pamięć ludzką, zarzucił w ostatnim paszkwilu redaktorowi *Prawdy*, że ten „wbrew uroczystym zobowiązaniom wyrok sądu honorowego *natychmiast poddał krytyce*." Bezczelności tej nie możemy nadal pozostawić bezkarną, tem bardziej, że oświetlenia charakteru p. Piltza, jako przedsiębiorcy *Kraju*, wymaga interes społeczny. Pragnęliśmy szczerze spełnić naszą obietnicę daną sądowi honorowemu, nie kwestyonowaliśmy i kwestyonować nie będziemy jego wyroku, uważając go za akt sumienia; ale skoro p. Piltz nietylko odrazu złamał deklaracyę, nietylko nie uszanował naszego sześcioletniego milczenia, ale śmiał na nas zwalić swoje wiarołomstwo i przypomniał w kłamliwem przedstawieniu sprawy, o której milczeć powinien, oświadczamy, że również zdejmujemy z siebie obowiązek, którego nie możemy spełniać jednostronnie i do dalszej z p. Piltzem walki używać będziemy materyału z tej wskrzeszonej przez niego sprawy.

W sznur swych bezecnych kłamstw wplata dalej p. Piltz twierdzenie, że redaktor *Prawdy* „wystąpił z oskarżeniem, iż w rękach jednego z profesorów uniwersytetu krakowskiego istnieć ma jakiś list fatalnie go kompromitujący" i że „zarzut ten musiał odwołać." Jak wiadomo tegorocznym czytelnikom naszym, my niczego w tej sprawie nie odwoływaliśmy.

Twierdzi wreszcie p. Piltz, że nas „opuścili wszyscy zwolennicy" a „z licznego sztabu postępowego pozostało zaledwie paru niedobitków." I tu czytelnik *Prawdy* wie, że ją w ciągu lat 10 opuściło kilku współpracowników żadnym stałym stosunkiem niezwiązanych, dwu zwykłych robotników literackich, który utonęli lub toną w zapomnieniu i dwu, którzy założyli własny organ. Co zaś do „niedobitków," autor prospektów, ogłoszeń i paszkwilów, nawet najbardziej wynurzywszy się ze swego błota, nie dojrzy jeszcze ich kostek.

Tyle o stronie faktycznej paszkwilu. P. Piltz dołączył do nich swoją na nas klątwę etyczną, zdolną rozśmieszyć najczarniejszą melancholię, widząca go w roli kapłana moralności, oraz swoją „wzgardę." Jeżeli wszelka kanalia, w życiu lub literaturze, może wyświadczyć komuś przyjemność lub zaszczyt, to tylko swoją naganą, nienawiścią i wzgardą, której nie mogąc zwracać poniżej siebie, bo nikogo gorszego już nie znajduje, ciska nad siebie. To też jakiekolwiek obelżywe półsłówka i słowa p. Piltza są objektywnie nikczemne, subjektywnie dla nas, jako sądy człowieka, za którym chodzi ciągle cień niesławy, w którym niecnota tak przybrała moc nałogu, żejeszcze niedawno miał sprawę publiczną o podpisanie na wydrukowanym liście cudzego nazwiska; człowieka, który zuchwałe swą czerpie w bezczelności, w lekceważeniu go i w opiece znakomitego adwokata kryminalnego; człowieka, który tak „ustalił swą opinię w prasie," że gdy do jednego z jej organów warszawskich wpuszczono go chyłkiem, pomimo wszelkich wywoływań nie chciano go pokazać i przyznać się do posiadania w swem gronie, człowieka, którego nazwisko stało się przysłowiowem i jednoznacznikiem obrazy — dla nas, mówimy, potępienie ze strony takiego rycerza jest tylko pożądanem i zaszczytnem. Najzupełniej więc godzimy się na to, że redaktor *Prawdy* jest „zły, przewrotnej i niskiej próby moralnej" — i że zasługuje na wzgardę p. Piltza, który stoi na biegunie przeciwległym. Tylko jednaka z nim „próba moralna" mogłaby nas istotnie z nieważyć.

M. H. W „Rozmowie na balu" znaleźliśmy tylko zużyte frazesy. Z tej próby niczego jeszcze wróżyć nie możemy.

Ami — femme. I to nie.

Pani H. Sl. W jakim języku? Polskie atlasy są słabe; z niemieckich Andree'a — tani i dobry.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 15 Іюня 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.